CENA 20 ZŁ

Odra
tygodnik

NUMER 44 (153) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 31 PAŹDZIERNIKA 1948 R. ROK IV

GERHART HAUPTMANN

Ciemności

Gerhart Hauptmann doczekał się po wojnie w Niemczech nowego renesansu. Honorowy prezydent Kulturbundu, działającego w radzieckiej strefie okupacyjnej, przypomniany został jako autor wielkich socjalistycznych arcydzieł. Ostatnio podobiznę jego umieszczono w serii znaczków, przedstawiających takie postępowe postacie niemieckie, jak Käthe Kollwitz, Karl Marx, August Bebel, Friedrich Engels, G. W. Fr. Hegel, Rudolf Virchow, Ernst Thälmann. Mnożą się dokumenty, nie tylko zresztą literackie, mające na celu całkowitą rehabilitację Hauptmanna. Do najciekawszych dokumentów literackich należy fragment dramatyczny Gerharta Hauptmanna pt. „Ciemności“ (Finsternisse), opublikowany po raz pierwszy w r. 1947 w Nowym Yorku jako druk prywatny, powtórzony w „Dramaturgische Blätter“, nr 5/1948. Rzecz stanowi piękne requiem ku czci wiernego żydowskiego przyjaciela Maxa Pinkusa, w dramacie występującego pod nazwiskiem radcy handlowego Joela. W kręgu utworów Hauptmanna jest to rzecz nowa, nawiązująca do szlachetnego humanizmu dawniejszych jego utworów.

Wysoki pokój. Ciężki renesans. Ciążąca powała. Noc. Stół nakryty dla ośmiu osób. Biel adamaszkowych obrusów i serwet występuje szczególnie wyraźnie. Kryształy, ciężkie nakrycia, takie same kandelabry ze świecami. Zegar stojący, z kurantami, bije dwunastą.

Zygfryd Kroner i służący Rotherfür wchodzą. Rotherfür jest we fraku.

KRONER: Kiedy on umarł?

ROTHERFÜR: W sobotę przed południem. Dzisiaj mamy wtorek. Już środę, boć właśnie wybiła dwunasta. A zatem dzisiaj zostanie pogrzebany. — Ale pan musi się przebrać!

KRONER: Gdzie są zwłoki?

ROTHERFÜR: Po tamtej stronie w drugim domu.

KRONER: Będzie za późno na maskę. Należało mnie prędzej zawołać. Nie dziwota, że ludzie są potem niezadowoleni.

ROTHERFÜR: Najlepiej będzie, jeśli od razu tam pójdziemy. Ma pan gips albo wosk, albo co pan w ogóle potrzebuje do wykonania odlewu, pod ręką?

KRONER: Naturalnie, że tak. Leży u szofera. Zresztą tkwiłem jakieś osiem godzin na gościńcu. Czy ma pan przynajmniej coś do picia? Cała rzecz odbędzie się szybko. Z jedzeniem zaczekam na potem.

ROTHERFÜR: Dozorca u zmarłego radcy komercjalnego będzie napewno miał jaką butelkę piwa. — My oczekujemy tutaj niejakiego Jana von Herdberga — pan wie, tego poetę — z żoną. Przyjedzie autem. Z powodu gwałtownego deszczu zapewne z dużym opóźnieniem. Był przyjacielem zmarłego radcy komercjalnego. Czekają na niego z kolacją.

KRONER: Pospieszę się, jak tylko będę mógł.

ROTHERFÜR: Ale — panie Kroner, pan musi się przebrać. Ma pan chyba ze sobą, przypuszczam, przynajmniej jakiś czarny żakiet w walizce?

KRONER: To rzemiosło, do którego zmusza mnie bieda, czyni z niego rodzaj ubioru zawodowego.

ROTHERFÜR: Chodźmy więc. Ogrodnik zarowadzi pana do dozorcy. *Obaj wychodzą.*

SCENA DRUGA

Rotherfür i Aumiller. Aumiller również we fraku.

ROTHERFÜR: Co będzie z nami, Aumiller, przyjacielu?

AUMILLER: U ciebie wszystko pozostanie po staremu, Rotherfür. Bo ostatecznie, ty jesteś na służbie u Lutza. Ja służyłem u ojca, a ten nie żyje. Niebawem znajdę się z żoną i dzieckiem na ulicy.

ROTHERFÜR: Bóg wie, czy Lutz się utrzyma. Złe czasy nastały nagle dla Żydów.

AUMILLER: Jak Boga kocham, nie zazdroszczę im.

ROTHERFÜR: Pomyśleć: radca komercjalny uczynił miasto Rahstadt z jego fabrykami wielkim. Adamaszki szły do wszystkich części świata. Śląskie płótno jest słynne na cały świat. Nie zaniedbywał Żydów; ale przypomnij sobie międzywyznaniowe szpitale, żłóbki! I nikt nie odszedł od niego nie pocieszony!

AUMILLER: To wszystko prawda, ale nie sparz sobie własnej gęby.

ROTHERFÜR: ... a dzisiaj, miast ażeby całe miasto szło za jego trumną, ogłasza się śmierć jego dopiero wtedy, gdy potajemnie wśród nocy i mgły ma zostać pogrzebany.

Biorą oba świeczniki i wychodzą.

SCENA TRZECIA

Z trzech stron wchodzą trzy zjawy i zajmują miejsce przy stole: prorok Eliasz, apostoł Jan i Ahaswer.

ELIASZ: Czy zostałeś zaproszony do stołu? Czy zostałeś przez Joela zaproszony do stołu?

AHASWER: Zostałem przez Joela zaproszony do stołu.

ELIASZ: A ty, Janie? I ty zostałeś zaproszony?

JAN: Także ja.

ELIASZ: Czy Joel wie, ześmy przyszli? *(Do Jana)* Idź, powiedz mu, żeśmy przyszli.

Zajmują oddzielne miejsca przy stole.



Hauptmann w swojej pracowni jagniątkowskiej



Gerhardt Hauptmann ze swymi trzema najstarszymi synami w okresie I wojny światowej

Jan oddala się, lotny jak obłok, przez jedne drzwi.

ELIASZ: To jest brzemię, które widział prorok Habakuk.

AHASWER: Noszę to brzemię od wieku po wiek. Joel nie żyje, ale Izrael nie umrze.

Jan unosząc się wchodzi znowu do środka. Obok niego Joel owinięty w biały całun. Obaj zajmują miejsce, Joel na naczelnym miejscu przy stole.

JOEL: Dużo o was słyszałem w życiu. A teraz oto jesteście u mnie.

ELIASZ, AHASWER, JAN *(równocześnie)*: Tak!

JOEL: Dostaniecie gorzki pokarm do jedzenia.

ELIASZ: Nigdy innego nie jadłem, Joel.

JOEL: Dobrze.

AHASWER: Dławi mnie pokarm życia. Nieubłagane okrucieństwo wpycha mi go do ust. Śpię za dnia prześladowany przez męczące sny. Wędruję od grobu do grobu, dręczony nieustannym pragnieniem śmierci. Często w locie zbliża się do mnie gołębioskrzydły anioł. Nareszcie! woła we mnie radosny głos, ale on przynosi śmierć innemu.

JOEL: Czy ja umarłem?

ELIASZ: Tak, umarłeś. I ja posłaniec łaskawego Boga.

JOEL: Czy potrafisz umrzeć jak on?

ELIASZ: Żyję na wyższym poziomie.

JOEL: A ty? A ty?

JAN: Ja czekam cierpliwie na powrót wszechmiłosiernego Syna Bożego na ten świat.

JOEL: Jesteś zatem w lepszym położeniu aniżeli Ahaswer?

Jan wpatruje się w swój talerz i nie odpowiada.

JOEL: Dobrze!

ELIASZ: A co masz do picia, Joel?

JOEL: Pijcie! Gaście wasze pragnienie gąbką umaczaną w gorzkiej żółci i occie!

Zjawy bledną i nikną.

SCENA CZWARTA

Wchodzi Estera z Rotherfürem i Aumillerem.

ESTERA: Czy wszystko przygotowane?

ROTHERFÜR: Tak, łaskawa pani. — Cieszymy się, że pan von Herdberg i jego małżonka wkońcu jednak przybyli.

ESTERA: Pan się cieszy, Rotherfür? — Ach tak! Pan uważa, dlatego że nawet ta garstka wśród Nie-Żydów, która była mojemu teściowi bliska, nie przyszła na pogrzeb. — Proszę powiedzieć w kuchni, że można wszystko przygotować *(Sprawdza nakrycia)*. ... Tu mój mąż — pani von Herdberg po prawej — obok pani Herdberg profesor Friedländer — potem ja a potem pan von Herdberg. — Tu panna Zich — była wprawdzie tylko gospodynią zmarłego, ale straciła go przecież, a zatem nie będzie się pan von Herdberg tym razem gniewał z powodu jej sąsiedztwa. Tutaj są dwa nakrycia za dużo. Możliwe, że mój brat jeszcze przybędzie. Jeszcze go nie ma, z powodu złych dróg. Ale nakrycia możecie sprzątnąć.

ROTHERFÜR: Rzeźbiarz z Berlina sporządził właśnie maskę pana radcu komercjalnego. Liczy on na to, że będzie także jadł przy stole.

ESTERA: Ach, ten Kroner! Ten Kroner! Ten ociężalec! Cóż się to tak tłucze na drodze przy bramie, Aumiller?

Obaj służący spoglądają po sobie nie dając odpowiedzi.

ESTERA: Ach wiem. Przewozi się go. — Czy przed bramą jest cicho? Albo zebrali się gapie?

ROTHERFÜR *(patrzy poprzez firanki)*: Całkiem cicho, łaskawa pani.

ESTERA: Tak, zatem tajemnica została, dzięki Bogu, zachowana.

AUMILLER: Żaden człowiek w mieście nie wie o tym.

Lutz Joel, we fraku, wchodzi.

LUTZ: Słyszę, przyjechali Herdbergowie.

ESTERA: Tak, dzięki Bogu, że ty jesteś Lutz!

LUTZ: Popatrz no, Estero, co ojciec w ostatnią noc przed swoją śmiercią napisał na tej kartce.

ESTERA: Później przeczytam, Lutz!

LUTZ *(czyta)*: „Panie, jak długo mam krzyczeć, a Ty nie chcesz mnie wysłuchać. Jak długo mam wołać do Ciebie ponad zbrodnią, a Ty nie chcesz pomóc“. — Co to był za przytłumiony hałas na dziedzińcu?

ESTERA: Coś jest wsuwane na wóz.

LUTZ *(wzdycha ciężko)*: Tak, w końcu czymś się zostaje.

Słychać znowu tylko turkot wozu, wyjeżdżającego przez bramę. Wszyscy stoją w milczeniu.

LUTZ: Tak! To więc była ta chwila. Wszystko w końcu trzeba zostawić.

Wchodzi rzeźbiarz Kroner, do pewnego stopnia groteskowy w źle na nim leżącym fraku. W ręku ma gipsowy odlew maski pośmiertnej radcy komercjalnego Joela.

KRONER: Dobry wieczór! Gdzie mogę oddać gipsową maskę.

LUTZ: Mógł ją pan oddać dozorcy.

KRONER: Myślałem, że jest świętością. — Poza tym jest to maska osobliwa.

LUTZ: Estero, przynieś jedwabną chustkę. Owiniemy ją pieczołowicie i złożymy w pokoju koncertowym.

ESTERA: Może pan ją położyć obok na Steinwayu.

KRONER: Maska jest naprawdę nader osobliwa. Wydaje się być obliczem i duszą całkiem innego człowieka aniżeli pański ojciec. Znam przecież każdy rys w twarzy pańskiego ojca, albowiem modelowałem jego popiersie. Kupiec, fabrykant — to wszystko jest jakby zdmuchnięte. Ta twarz tutaj mogłaby należeć do jakiegoś Araba, może do jakiegoś beduińskiego szeika, muskularnego, poniżej czterdziestki, takiego co na ognistym białym ogierze leci przez pustynię, u siodła mu wisi Koran, takiego co ostrą szablę raz po raz musi oczyszczać świeżą krwią. Takiego, o którym Goethe mówi w „Dywanie“: „Niech bym tylko w siodle swym coś znaczył, a ponad moją czapką tylko gwiazdy!“

LUTZ: Ja istotnie nie mogę poznać mego ojca.

ESTERA: *(również przypatrując się masce)*: Tak, to jest prawda.

Aumiller, który się był oddalił, wraca z dużą srebrną, dymiącą wazą zupy.

KRONER: Położę ją więc na fortepianie.

Idzie z maską do bocznego pokoju.

ESTERA: Sądzę, że wypada nam osobiście pójść po Herdbergów.

Estera i Lutz wychodzą. Kroner wraca.

KRONER *(stojąc za jednym z krzeseł, do służącego)*: Kto cierpi w domu najbardziej z powodu śmierci radcy komercjalnego?

ROTHERFÜR: On się z synami nie rozumiał. Dobrze rozumiał się z synową. Wydaje mi się, że najbardziej brak jego odczuwa pani Estera Joel.

KRONER: To Machabejka. Musiałby ją malować Feuerbach.

Pan von Herdberg, pani von Herdberg, profesor Friedländer, Lutz i Estera wchodzą razem.

LUTZ: Czy pozwoli pani i pan von Herdberg przedstawić sobie rzeźbiarza Kronera?

VON HERDBERG: O, pośrednio się znamy. Miał pan w ubiegłym roku wystawę u handlarza dzieł sztuki, Gurlitta.

KRONER: Niestety nie wzbudziła najmniejszego zainteresowania.

VON HERDBERG: W takim razie wyłączając mnie. Może kiedy później porozmawiamy o tym.

ESTERA: Proszę teraz zająć miejsca, tu, tu, tam, pan profesor tu, pan tam.

Dzieje się podług jej wskazówek. Zegar z kurantami wybija pierwszą.

VON HERDBERG: Pierwsza godzina nowego dnia.

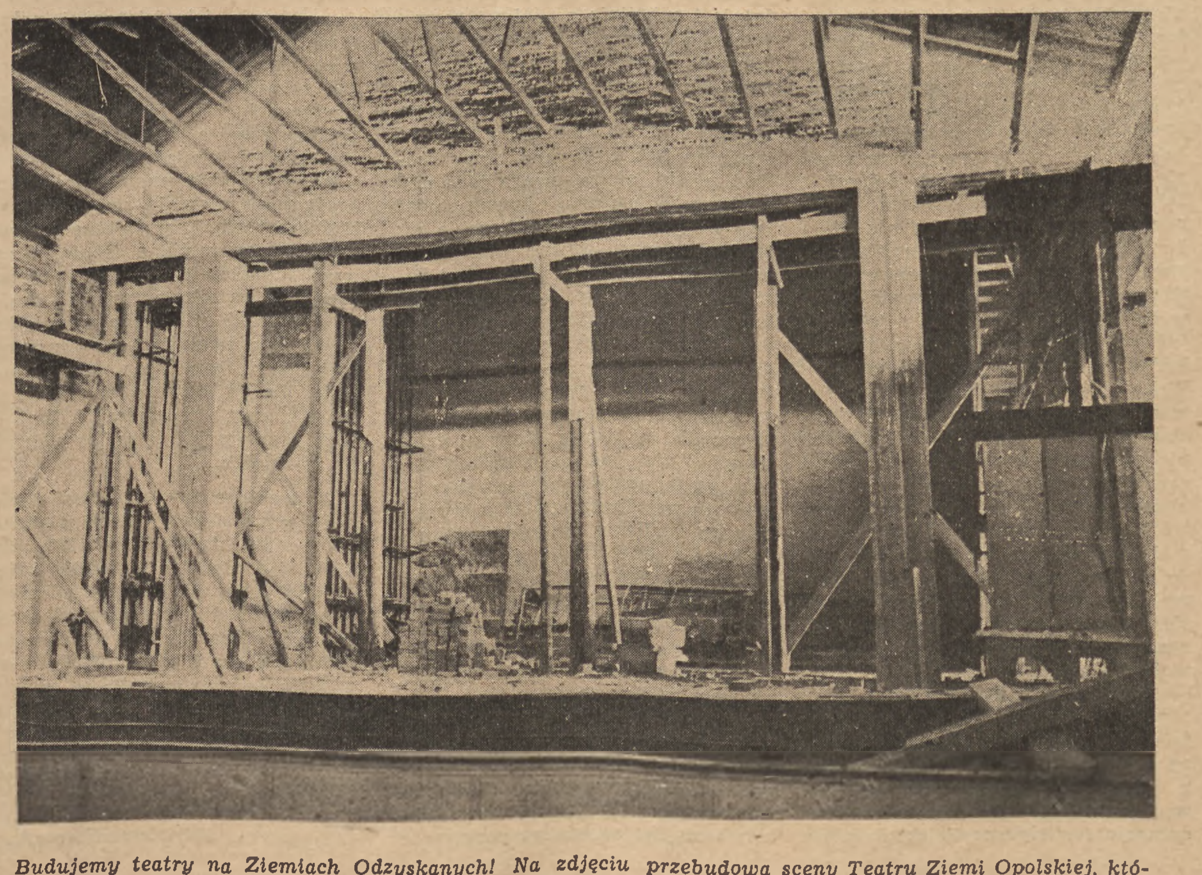
Podano zupę. Zaczęto jeść. Krótkie milczenie.

ESTERA: *(po paru łyżkach zupy)*: Nie chcę wypowiadać wielkich słów. Ale dla mnie stało się sprawą prawie obojętną, czy jest dzień czy noc.

LUTZ: Nie mówmy o tym, Estero!

VON HERDBERG: W jaki sposób umarł starszy pan?

(Dokończenie na str. 3)



Budujemy teatry na Ziemiach Odzyskanych! Na zdjęciu przebudowa sceny Teatru Ziemi Opolskiej, która pozwoli na większe artystyczne rezultaty tego teatru, zajmującego jedną z najważniejszych pozycji w geografii kulturalnej Polski.

JULIUSZ NOWAK-DŁUŻEWSKI

O mądrości politycznej pijara Stanisława Konarskiego

o którym winien zwłaszcza pamiętać Elbląg

W roku bieżącym mija 175 lat od chwili śmierci wielkiego pijara polskiego, Stanisława Konarskiego, 300 lat od chwili śmierci twórcy szkół pijarskich w Europie, św. Józefa Kalasantego, a 350 lat, odkąd istnieją założone przez niego szkoły pijarskie, pracujące bezpłatnie dla powszechności.

Rok 1948 jest jubileuszowym rokiem pijarskim, obchodzonym uroczyście przez europejskie kongregacje pijarskie. Rok ten specjalne znaczenie posiada dla Polski, która wydała z łona kongregacji polskich pijarów skromnego mnicha Stanisława Konarskiego, bo zapisał się on złotymi literami w dziejach naszego narodu, jako ten, który dokonał rewolucyjnej naprawy naszego ustroju szkolnego, torując drogę Komisji Edukacji Narodowej, gruntownej reformy naszego ustroju politycznego, obalając w świadomości ogółu mit o świętości liberum veto oraz — co również ważne — reformy naszego stylu literackiego. Choć czyn Konarskiego przyszedł za późno, by uratować państwo, zdążył przecież stworzyć warunki, które pozwoliły na odrodzenie duchowe narodu i przygotowanie niepodległości kulturalnej Polaków na okres ich 150-letniej niewoli politycznej.

Nie to wszystko jednak interesuje nas w niniejszych uwagach: zasługi St. Konarskiego na polu oświaty, literatury i reformy politycznej są na ogół znane. Chcę przypomnieć zapomniane doszczętnie a przemilczane lub słabo podkreślane w pracach naukowych o Konarskim jego zasługi jako polityka czynnego. Ta zresztą jego działalność jest charakteryzowana przez tych badaczy, którzy ją u siebie uwzględniają, w sposób ujemny. Konarski-polityk — argumentuje się — włazi w paradę Konarskiemu-pedagogowi, a czcze rozgrywki polityczne, w których bierze udział Konarski, zabierają jego energię i siły, które by się przydały na naturalnym polu jego działalności kulturalnej i reformatorsko-politycznej.

Takie wartościowanie pracy Konarskiego nie wydaje mi się właściwym. Czynna działalność polityczna Konarskiego była takim samym naturalnym polem jego działalności, jak praca w zakresie reformy państwa, szkolnictwa czy stylu, jakim Polacy powinni się posługiwać. Konarski jako czynny polityk wyżywał się identycznie jak reformator kultury polskiej czy ustroju polskiego, jednakowo sumiennie i celowo a przy tym rozumnie. Działalność jego jako polityka czynnego, bezpośrednio ingerującego w bieżące zdarzenia polityczne, wydaje nam się dzisiaj mniej ważna i wartościowa, może nawet zbędna w stosunku do reszty jego prac dla narodu, ponieważ nie przyniosła ona jak tamte pozytywnych rezultatów. Ale to już nie wina Konarskiego, tylko wręcz fatalnego położenia politycznego Polski ówczesnej. Badaczom zwłaszcza nie wolno mierzyć celowego i rozumnego poczynania li- tylko wielkością jego skutków praktycznych. Taki utylitaryzm mieści się w granicach myślenia pospolitego a pozbawiony jest cech perspektywy historycznej, bo stara się widzieć skutki natychmiastowe, doraźne, a nie dostrzega dalekosiężnych. Znamy takie okresy w życiu Konarskiego, kiedy czynna praca polityczna staje się głównym ośrodkiem jego bieżących zainteresowań. Taki okres tworzą lata 1733—1735, kiedy Konarski staje się publicystą politycznym na wielką skalę, oddając swe ostre pióro na usługi stronnictwa narodowego. Wtedy również pracuje na polu dyplomatycznym jako sekretarz poselstwa Ożarowskiego do Ludwika XV, wyprawionego przez stronnictwo Leszczyńskiego w obronie praw do tronu polskiego kandydata narodu.

Takich okresów „ucieczek“ Konarskiego ze sfery pracy kulturowej w sferę polityki — ku utrapieniu jego przełożonych w zakonie pijarskim — znamy jeszcze kilka. Nie należy zbytnio narzekać, jak to czynią niektórzy badacze Konarskiego, na jego wuja wojew. Tarłę, któremu się przypisuje główną winę tych „odchyleń“ siostrzeńca. Konarski sam się dobrowolnie angażował w polityce, bo ona dogadzała jego żwawemu temperamentowi, bo chciał wpływać na losy własnego kraju, pragnąc je kształtować w sposób, zgodny z jego interesami. Angażował się w polityce nawet po śmierci Tarły i nawet wtedy, kiedy szanse jego wystąpień były realnie nader nikłe. Był to bowiem człowiek, który zwykł był w życiu chadzać po linii największego oporu. Taki był nie tylko w polityce, ale i działalności pozapolitycznej, w pracy nad reformą szkolnictwa, stylu literackiego i ustroju sejmowego, kiedy musiał łamać w pojedynkę zło dawne i zastarzałe, a więc bardzo trudne do usunięcia z życia narodowego. Wchodzi tu w grę nie tylko jego bojowy temperament nowatora, ale i głos sumienia obywatelskiego, które mu kazało podnosić po wielekroć donośny protest w głuchej ciszy uśpionego narodu w sprawach słusznych i sprawiedliwych, choćby wskutek przemocy zewnętrznej i bierności własnej nie miały one szans natychmiastowego urzeczywistnienia. Cóż bowiem innego, jak nie poczucie słusznej sprawy narodowej, jak nie głos sumienia dyktuje mu owo słynne wystąpienie w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, w okresie głośnej sprawy dysydentów polskich, wyzyskiwanych przez mocarstwa ościenne przeciw własnej ojczyźnie? Choć groziły Konarskiemu konsekwencje smutne, choć miał przed oczyma los wywiezionych przez Repnina senatorów polskich, nie wytrzymał wobec jawnej głupoty i zdrady narodowej dysydentów i cynicznej przemocy monarchizmów ościennych i kropnął swoją „Rozmowę dwóch kawalerów“ w obronie uciemiężonego narodu. Napis na medalu, wybitym ku jego czci, sławiący męstwo pijara, charakteryzuje nie tylko autora „Skutecznego rad sposobu“.

O Konarskim, czujnym a mężnym sumieniu narodowym, dałoby się napisać więcej. Niech wystarczy tych parę refleksji.

Chcę się tutaj zatrzymać na akcji politycznej Konarskiego w okresie wojny siedmioletniej. Charakteryzuje ona nie tylko prawość naszego pijara, ale i jego mądrość polityczną. Wystąpienie to ciekawe jest i dlatego jeszcze, że wykazuje ono inicjatywę Polski w rozgrywających się wypadkach politycznych. Wiadomo, że Polska po wojnie północnej przestała w ogóle odgrywać jakąkolwiek czynną rolę w Europie, stając się przedmiotem rozgrywek w rękach swoich sąsiadów.

W okresie wojny siedmioletniej widzimy naszego pijara w czynnej roli dwukrotnie. Pierwszy raz występuje na początku wojny siedmioletniej, w okresie roku 1757, kiedy Fryderyk II poniósł szereg klęsk wojennych i kiedy się zdawało wszystkim, że się ma ku końcowi militaryzmu pruskiego. Zanosiło się wtedy na kongres pokojowy — i w jego przewidywaniu St. Konarski zaprojektował wyciągnąć dla Polski na przyszłym kongresie pewne korzyści za pośrednictwem zaprzyjaźnionej z Polską Francji. Wtedy właśnie składa on na ręce ambasadora francuskiego w Warszawie de Broglie'go memoriał, domagający się dla Polski ze strony mocarstw pewnych gwarancji, decydujących dla suwerennego bytu Polski (sprawa następstwa tronu i uzdrowienia ustroju sejmowego przez wprowadzenie głosowania większością). Memoriał Konarskiego napisany w języku łacińskim, nosi długi tytuł: „Spostrzeżenia o usługach, pożądanych ze strony przyjaznych Polsce mocarstw na przyszłym kongresie pokojowym“.

Przewidywania i rachuby zawiodły Konarskiego, bo zmienne losy wojny przyniosły niespodziewane zwycięstwa Prusakom. Memoriał stał się na razie nieaktualny. Rychło jednak doszło do jego reaktywowania, kiedy kampania wojenna lat 1757-58 doprowadziła Fryderyka na kraj przepaści. Znowu się otwiera perspektywa końca wojny i układów pokojowych, choć już w zmienionych w stosunku do roku 1757 okolicznościach politycznych. Fryderyk II zdążył stracić Prusy Książęce (Wschodnie) łącznie z Królewcem, ten Piemont noowżytnego państwa pruskiego, zajęty przez wojska rosyjskie.

W tej wyjątkowej chwili historycznej aktualizuje Konarski swój memoriał z r. 1757, rozszerzając żądania Polski na przyszłym kongresie pokojowym o jeden punkt, o sprawę Prus Książęcych.

Cóż bowiem ma uczynić Europa z enklawą pruską? „Czego należałoby się spodziewać od przyjaznych Polsce panujących?“ Nie przyznają jej chyba Rosji. Naturalna konfiguracja geograficzna predestynuje Prusy Wschodnie na prowincję polską. Cała przeszłość historyczna przemawia za jakimś zespoleniem Prus Wschodnich z Polską. Konarski gromadzi argumenty i pretensje do króla pruskiego ze zwykłą sobie erudycją historyczną i dialektyką ściśle rozumiejącego umysłu prawniczego.

Dwa są widoczne momenty polityczne w tym jego programie rewindykacyjnym. Jeden moment nazwę minimalnym. Żąda w nim zwrotu dla Polski Elbląga i starostwa drahimskiego, składania Polsce hołdu przez króla pruskiego za posiadanie Lęborka i Bytowa, zmuszenia go raz na zawsze do powstrzymania się od werbowania żołnierzy na terytorium polskim, skoro Polacy nie czynią tego na terenie posiadłości króla pruskiego, żąda spowodowania, aby król pruski zaczął respektować granice Polski, przestał zasypywać ją fałszywą monetą i zaprzestał podnoszenia cła na towary polskie, spławiane Wisłą do morza przez terytorium pruskie.

W tych wszystkich pretensjach chodzi Konarskiemu po prostu o przywrócenie działania traktatu welawsko-bydgoskiego. Postanowienia tego traktatu, zawartego za czasów Jana Kazimierza z Fryderykiem Wilhelmem, królem pruskim, nie były dotrzymywane przez kontrahenta pruskiego. Faktem było, że zastrzeżonego dla Polski składania hołdu z Bytowa i Lęborka nie wypełniał i dusił handel polski wygórowanymi cłami. Podczas wojny siedmioletniej armie pruskie bezkarnie maszerowały po obcym sobie terytorium neutralnej Polski, wybierały z niego bezkarnie rekruta. Fryderyk II zaczął fałszować na wielką skalę monetę polską i zasypywać nią neutralny kraj polski. Dość powiedzieć, że w pierwszych latach wojny siedmioletniej zdążył zarobić na nas 200 milionów złotych, sumę olbrzymią, która się równała kosztom utrzymania 60 tys. żołnierza przez okres dwu lat. Wskutek tego Polska praktycznie musiała płacić koszty wojny, prowadzonej pour le roi de Prusse.

Gdyby Fryderyk został zmuszony do wymierzenia Polsce sprawiedliwości zgodnie z brzmieniem traktatu welawsko-bydgoskiego, byłoby to już sporo dla niej — ciągnie dalej swoje wywody i racje Konarski. Nie wystarcza mu to jednak, a czując pomyślną dla swojego kraju koniunkturę polityczną, wysuwa program maksymalny.

Gdyby uczestnicy kongresu pokojowego — argumentuje dalej, rozwijając żądania maksymalne — sądzili, że należy zgnębić króla pruskiego i nie dopuścić do przywrócenia mu Prus Książęcych, niechaj zezwolą, aby te Prusy wróciły do Polski jako jej zwykłe lenno a to zgodnie z brzmieniem traktatu welawsko-bydgoskiego.

Niestety, nie doszło w w. XVIII do realizacji tego planu, dzięki któremu już wtedy doszłoby do naturalnego przesunięcia granicy polskiej do morza na północnej jej granicy. Polska, której rzecznikiem jest St. Konarski, miała rację, ale zabrakło siły do jej podtrzymania i wcielenia w czyn.

Polska musiała czekać na zaspokojenie swoich słusznych pretensji do czasów ostatnich, czasów naszych. Choć plan przywrócenia nam Prus Wschodnich, formułowany przez Stanisława Konarskiego, nie doczekał się realizacji w w. XVIII, świadczy w każdym razie o mądrości politycznej tego zakonnika, którego lwi pazur widać wszędzie, czego się tylko tknie: nie tylko w reformie szkolnictwa i sejmu, ale i w polityce.

Juliusz Nowak-Dłużewski

PAWEŁ KUPKE

Młodość, zbrodnia, awantura

Bohater powieści - pamiętnika Józefa Goebbelsa, Michał, między miłością do Herthy Holk a rozmowami z Rosjaninem Wierunowskim, snuje chorobliwe rozważania na temat socjalizmu. Dochodząc wreszcie do wniosku, że Fryderyk Wielki był socjalistą na królewskim tronie, cytuje z upodobaniem fryderycjański frazes o pierwszym służebniku państwa. To słowo Fryderyka Wielkiego powtarza w tym czasie wiele warg. Nie ma w tym patosu, skądżeby; po powrocie z wojny do domu, po krótkich ale burzliwych dniach monachijskiej republiki rad patos wywietrzał z głowy jak przedawniony alkohol. Jest w tym jedynie chęć nadążenia za czasem, niosącym nowe idee w zgodzie z dotychczasowymi schematami myślenia i rozumienia historii, bez potrzeby likwidowania jej nacjonalistycznych narożników, za którymi zawsze Niemiec czuje się pewnie. O socjaliźmie starego Fryca mówi się w tym czasie powszechnie, wszyscy są zadowoleni, że znalazł się taki czcigodny wyondulowany antenat, że można mówić o pruskim socjaliźmie jako o czymś stałym w czasie, jako o czymś płynnym od wielu dziesiątek lat.



Dietrich Eckart, zwiastujący nowe sny o władzę, nielicznej grupie błędnookich

Mała grupka ludzi, która 5 stycznia 1919 r. zakładała nową partię pod nazwą Deutsche Arbeiterpartei w Monachium, myślała podobnie. W zatęchłym bocznym pokoiku nędznej monachijskiej piwiarni, gdzie przystawali na krótki postój furmani i dokąd na partyjkę skata przychodzili biedniejsi studenci, na czas zebrań zawieszano nawet specjalnie portret Fryca, który po zebraniu jak ołtarz przenośny owijano w sukno i chowano do plecaka. Na jedno z zebrań, na którym referat wygłosić miał inżynier dyplomowany Feder, autor „przełomowej" książeczki o przezwyciężeniu panowania procentów, wysłany został przez sztab 1 bawarskiego pułku strzelców szczupły błędnooki człowiek w charakterze obserwatora. Wojsko interesowało się wówczas życiem politycznym o tyle, o ile spodziewało się konieczności ingerencji w ewentualne zaburzenia i zamieszki, bójki i nieporozumienia między partiami. Obserwator, o którym później powiedzą w wytwornych książkach, że sprawował funkcje oficera oświatowego, posiadał zaledwie stopień kaprala i nazywał się Adolf Hitler.

Zebrani ucieszyli się z przyjścia nowego towarzysza, który zabrał nawet głos w dyskusji, wygrażając pięściami sobie i wszystkim obecnym, na równi z wrogami, których tu jeszcze nie wiedziano gdzie szukać. Po zebraniu jeden z organizatorów DAP, bo tak w skrócie nazywała się nowa partia, podszedł do Hitlera, wręczając mu kajecik z wypracowaniem „Moje polityczne przebudzenie". Człowiekiem tym był Anton Drexler, późniejszy pierwszy przewodniczący monachijskiej grupy miejscowej partii W parę dni później Adolf Hitler, zaczytany w broszurze Drexlera, która doskonale podkarmiła jego psychopatyczne sny o wielkim ruchu politycznym, przyjęty został na członka partii. Zgodził się na to — przyznaje później w „Mein Kampf" — raczej z ciekawości niż z potrzeby. Nie trzeba jednak temu wierzyć. Już wtedy bowiem zamyślał opanować małą partię. „Tu mogłem jeszcze pracować, im mniejszy był ruch, tym łatwiej można mu było nadać właściwe formy". Legitymacja Hitlera nosiła numer siedem. Sześciu innych zatem ludzi ubiegło go. To go denerwowało. W późniejszym swym życiu będzie się starał o tych sześciu mówić jak najmniej, zapomni o nich, on sam wyrośnie na założyciela partii i twórcę ruchu.

Zaczął 1 stycznia 1920. Na Sterneckstrasse była gospoda, której właściciel chętnie odnajął błędnookiemu wysoką bieloną salkę, z długim stołem konferencyjnym w środku, z szafkami i półkami pod ścianami. Szerokie fabryczne okno wnosiło wiele światła, ale młodzi ci awanturnicy widocznie bali się światła, bo zasłaniali je, przynajmniej do połowy, kocem. Zaczął od kartoteki. Zapisał w niej 64 członków. Wyciągał od nich składki na zapłacenie 50 marek komornego. Przy likwidowaniu należności był bezwzględny. Uśmiechał się, na przemian zaś groził i przeklinał. Nazywano go w nielicznym gronie po prostu **toller Adolf**. Przyjaźniejsi mówili o nim Dolfi. Później zakazał surowo tej formy przyjaźni. Po długich poszukiwaniach odnajduje frontowego kolegę, który obiecuje pracować w biurze partii, wnoszą doń nowy cenny nabytek: maszynę do pisania. Powoli usuwa założycieli. Pierwszy odpada dotychczasowy przewodniczący, Harrer, o którym dzięki temu świat zapomniał. Przypomina go tylko fotografia w stahlhelmie w książce „Dokumente der Zeitgeschichte". Po raz pierwszy odważa się przemawiać na publicznym zebraniu. Stało się to już w słynnym później Hofbräuhauskeller. Nocami kuje przemówienie, które składało się z samych wykrzykników, szyderstwa i ironii. W czasie pierwszego swojego przemówienia kierował równocześnie zręcznie rozruchami, które wybuchły na sali. Schlag ihn tot! — powtarzał do jakiegoś młodzieńca, który splótł się z pewnym przeciwnikiem politycznym. Nazywano go odtąd dobrym strategiem. Pod koniec przemówienia wykurzeni z sali przeciwnicy tłukli już tylko bezsilnie pięściami w szyby. Uśmiechał się.

Nosił wtedy kapelusz uniesiony wysoko i dość niedbale. Podobny był w tym do malarza, co mu chyba się bardzo podobało, skoro zawsze się chlubił swymi artystycznymi początkami. Gabardynowy płaszcz poplamiony był benzyną. Wyglądał w nim tak, jakby podpalał stare wraki samochodowe. Mimo to poszli za nim dwaj urzędnicy policyjni, prezydent policji Pöhner i jego podwładny, Wilhelm Frick. W tym czasie, siedząc nad mistycznymi pismami, postanawia zmienić zewnętrzne oblicze partii. Pewnego dnia maluje na stole obrad wielką swastykę. Czyni to z taką tajemniczością i namaszczeniem, jak dawni chrześcijanie, malujący rybę na piasku. Zmieni nazwę partii. Rodzi się NSDAP, w ten sposób pozbywa się też niemiłej tradycji sześciu swoich poprzedników.

W tym czasie istnieje na terenie Bawarii kilkadziesiąt innych partii. Jedną z nich zakłada jowialny pan, rozkochany w winie i kobietach, rozwiedziony, pretensjonalny, ani pisarz, ani myśliciel, choć za takiego go później w Niemczech mają. Nazywa się Dietrich Eckart. Wydaje pisemko „Auf gut deutsch", które reklamuje antysemickimi plakatami. U boku ma Alfreda Rosenberga. A więc gromadzi się szajka. Eckart pomaga partii w uzyskaniu „Völkischer Beobachtera". Swoją partię łączy z NSDAP. Układa hymny partyjne i jest twórcą okrzyku „Deutschland erwache! Niemcy zbudźcie się!" Ale oto szuka go policja. Nie tylko za to, że wykpiwa Eberta, ówczesnego prezydenta, ale i za różne niecne sprawki z kobietami, które tu pomińmy. Wreszcie mały, krępy asystent kryminalny,



Antyhitlerowski plakat Niemieckiej Partii Komunistycznej z roku 1924. Plakat projektował znany antyfaszystowski grafik John Heartfield, którego fotomontaże, publikowane na krótko przed wojną w Pradze czeskiej, dokąd udał się zrazu na emigrację, wywoływały stałe protesty ambasadora niemieckiego w Pradze.

Dopplhammer — kto by to pomyślał, taki fajtłapa — łapie Eckarta w Monachium, skąd odsyłają go do landsberskiego więzienia. Po wyjściu z więzienia umiera. Hitler po raz pierwszy upuszcza łzę. Nie z przyjaźni. Z poczucia słabości przez śmierć współpracownika.

„Völkischer Beobachter" staje się dziennikiem i przechodzi pod redakcję Rosenberga. Dzieje partii piszą teraz plakaty, afisze, transparenty i obwieszczenia. W kabaretach szaleją nagie rewie, a tu na ulicach — zamieć papieru. Zamieć papieru opanowuje także życie gospodarcze. Jeden numer „Beobachtera" kosztuje sto marek. Biuro partii pracuje wzorowo, rośnie kartoteka, powstaje grupa fanatycznych kobiet. Młodzi chłopcy mają używanie. Nikt się wtedy nie liczy z ewangeliczną moralnością. Goebbelsów Michał, bohater książki, zestawia bez żenady dwa fakty: Chrystusa, geniusza miłości i prostytutkę Herthę Holk, „wierzącą w Michała jak w ewangelię". Goebbels zawsze szukał w kobietach uległości. Gdzie indziej Michał mówi — a wiemy, że to zasada autora — iż dopiero, gdy dotyka jego ciała ciepły język kobiety, może myśleć o polityce i to dobrze myśleć. Ale to tylko dygresja.

Nowy rok przynosi zmianę lokalu. Przy ulicy Korneliusza 12 odkupują knajpę i przebudowują ją na lokale partyjne. Przedpokój i trzy pokoje, oto pierwsza Reichskanzlei. Urzęduje tu już najwyższy komendant sił SA, który dotąd nigdzie nie mógł zrobić interesu, Hermann Goernig. Już teraz chce się żenić, ale Hitler odwodzi go od tego zamiaru. Ostatecznie są w partii kobiety... Prasa komunistyczna zapamiętuje to wszystko. „Münchener Post", zwykle godnie rozprawiająca się z awanturnikami hitlerowskimi, teraz ma możność publikowania sensacyjek. Och ten Hermann — oświadczy później Hitler — ileż on mnie kosztował zawsze kłopotów, żeby się nareszcie ustatkował. I tu tupnie nogą. A mówił to na zebraniu swoich najbliższych współpracowników w czasie zjazdu partyjnego 1933.

Gromadka powiększa się. Zlatują się szwarccharaktery ze wszystkich stron. Następny rok przynosi — jak czarownicę na grabiach — Juliusa Streichera. I on kierował partią, a mianowicie niemiecką partią socjalistyczną. Ale równocześnie był współwłaścicielem domu publicznego w Monachium przy tejże samej Corneliusstr. Współczesne pisma donoszą o nim, że lepią się doń najbrudniejsze pieniądze. Streicher jest chory psychicznie. Na punkcie Żydów. Dużo by o tym pisać można. Uraz pochodzi jeszcze z okresu młodości. Historia jest dość pikantna, jak w ogóle cały żywot Streichera. Przejdzie do historii obyczajów twórców Trzeciej Rzeszy.



Bojowa postawa komunistycznego Związku Bojowników Czerwonego Frontu, defilującego przed Thälmannem, nie została uwieńczona zwycięstwem. Późniejsze zwycięstwo hitlerowców stało się nieszczęściem dla świata

W rok później w Monachium, na Polu Marsowym, odbywa się pierwszy parteitag. SA paraduje po raz pierwszy w hełmach, zaczepiając na ulicach robotników. Raz po raz wyskakuje ktoś z maszerującej kolumny i boksuje zebrany na chodnikach milczący tłum. Podnoszą się z niego złowrogie okrzyki, ku chwale ulicy niemieckiej, i wznoszą się zwinięte pięści. Ale jest tego coraz mniej. W SA są młodzi chłopcy, na chodnikach są młode kobiety. W szeregu idą ludzie-szaleńcy, na chodnikach stoją ludzie zmęczeni walką o chleb, niezdolni do żadnego innego szaleństwa, prócz śmierci.

Czynem duchowym dzisiejszego czasu — notuje Goebbels w swoim „Michale" — *jest artykuł wstępny, mowa partyjna, frazes parlamentarny. Książka stała się elementem luksusu. Literatura sprawą partii.* Nie wiadomo, czy Goebbels sądził, czy tylko notował. Bo przecież hitleryzm, narastający po knajpach zrazu, później na brzegach ulic, wreszcie w halach fabrycznych, gdy sterroryzowani komisarze komunistyczni zmuszeni byli zaprzestać roboty — robił to samo. Owszem, garną się doń pisarze, zamieniający wiersz na artykuł wstępny. Tak zrobił Eckart, tak uczyni Goebbels, niewielkie tylko mający powodzenie na terenie literatury, z literaturą zetknie się awanturnik Horst Wessel. Od literatury przyjda inni, następni. Hitlerowi w dokumentach dopisują: Schriftsteller.

Awanturnicy dążą do rozlewu krwi. To oni prowokują, nie komuniści, którzy zbierają się na ulicach w milczeniu i w spokoju. 9 listopada 1923 r. przynosi ruchowi hitlerowskiemu nareszcie pierwszych „bohaterów", 16 zabitych w zamieszkach i starciach monachijskich. Do tej cyfry dojdą później już tylko nieliczni, aż po Horsta Wessela, syna księdza, który jednak przeżył żywot alfonsa, pozostawiając po sobie troje nieślubnych dzieci i kilka piosenek dla SA. Jedna z nich **„Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen"** na prawach hymnu przetrwała aż po klęskę 1945. Ta droga bez bohaterów była z jednej strony dowodem terroru, jaki rozpętały formacje szturmowe hitlerowców, z drugiej zaś aktem coraz wyraźniejszej intencji podporządkowywania się złu, jedynej u Niemców koncepcji, którą umieli zawsze i wszędzie jak najgruntowniej naukowo tłumaczyć i wykładać.

W rok później — każdy rok przyniesie coś nowego, stąd wystarczy odwoływać się w tej historii awantury partyjnej do jednego tylko wypadku każdego roku — zdenerwowała się nareszcie policja. Hitlerowi i jego towarzyszom wytoczono proces o zdradę najwyższą. Wśród towarzyszy znalazła się pikielhauba Ludendorffa, którego pragermański mistycyzm bardzo pomógł hitleryzmowi w rozwiązaniu zawiłych problemów metafizyki partyjno-programowej, profil homoseksualny Röhma, zgładzonego później, jako konkurenta, przez Hitlera, sprytne oblicza dwóch urzędników policyjnych, Pöhnera i Fricka, już zdobytych na zawsze. Hitlerowi wymierzono karę pięciu lat twierdzy, ale przesiedzi z tego tylko 13 miesięcy.

Otóż widzimy Hitlera w twierdzy. W czystej koszuli, z krawatem zawiązanym z pretensją kawalerską, której poprzednio u niego nie widać, czytającego najnowsze gazety, nakręcającego patefon, który pozwolono mu zabrać do celi, piszącego „Mein Kampf" (pierwotny tytuł: 4 i pół roku walki z kłamstwem, głupotą i tchórzostwem), którego kilkadziesiąt wydań przyniesie mu miliony marek dochodu. Do celi wchodzi drugi błędnooki, Rudolf Hess, wpatruje się z nabożeństwem w ponurą twarz Hitlera, który już teraz marzy o wojnie. Wyczuł to dobrze Hess, nazywając Hitlera w celi landsberskiej nowym bogiem wojny. Szaleńcy poznają się najłatwiej.

W międzyczasie partia padła, by powstać na nowo w roku 1925. Padł „Völkischer Beobachter", by podnieść się i róść w najpotężniejsze pismo aż po rok 1945. Zmienia się obraz partii, po cichu odchodzą lub znikają zimni i obojętni, zostają i rządzą już tylko ludzie obłąkani Hitlerem i perspektywami władzy. Siłą najłatwiej zdobywa się władzę, terrorem najłatwiej wygrywa się wybory.

Szwarccharaktery schodzą się. Z Nadrenii do Berlina przychodzi malutki Goebbels, nikomu tu nieznany, by podjąć walkę piórem i terrorem przeciwko czerwonym. Czerwoni, to robotnicy, a Goebbels nie lubi robotników, choć deklamuje o nich ustawicznie. Od 1927 r. wydaje miesięcznik „Der Angriff", w redakcji szaleją młodzi niedokształceni ludzie, których sztuka pisania polega na odwracaniu porządku słów w zdaniach i sformułowaniach Hitlera i Goebbelsa. 6 stycznia 1929 r. Heinrich Himmler, przecierając ustawicznie okulary nad zaropiałymi oczyma, podnosi się z krzesła, staje na baczność przed Hitlerem i obiecuje kierować całą SS według swych najlepszych umiejętności i woli, na prawach absolutnej wierności.

Batem, batem, łajdaków czerwonych
pięścią, pięścią niech wróg wreszcie wie,
ześmy front Niemiec znów odrodzonych,
co się po sławę i chwałę pnie.

Śpiewają oddziały SA i SS pieśni Anackera, którego drażnione narkotykami oczy zdają się modlić do Hitlera. Wymodlą mu doskonały materialny los, pozwolą mu na kupienie niewielkiego mająteczku w Szwajcarii, gdzie osiądzie po wojnie.

14 września 1930 w wyniku wyborów stu sześciu posłów hitlerowskich wkracza ze śpiewem do Reichstagu.

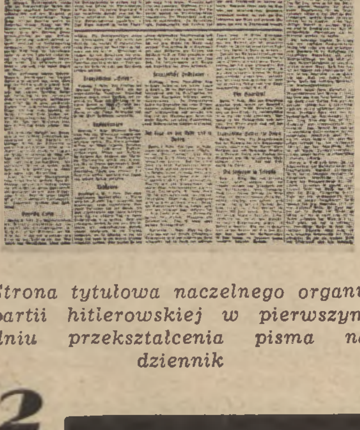
Dalszy ciąg jest dalszym ciągiem słabości niemieckiej. Hitler zaciera ręce i klepie się po udach, jak dziecko raduje się każdym nowym sukcesem. Jak dziecko, psujące zabawki, wywraca cały porządek na odwrót, szuka sławy w budowaniu rzeczy nowych. Jak dziecko nie pozwala na jakikolwiek opór. Nadchodzi czas, że Hitler w przydługim ciężkim gumowym płaszczu majestatycznym krokiem papieża nowej szaleńczej wiary przemierza salę Reichstagu, przypatrując się sobie w posadzkach, w marmurowych ścianach, w źrenicach swoich obłąkanych od wierności towarzyszy. Za nim kołysze się wysoki bociani Hess, z nahajką ukrytą zręcznie w rękawie brązowej koszuli. Za nim sunie „unser Panzerwagen" Hermann Goering, z oczyma powlekłymi bielmem i Goebbels z kulawą nogą spóźniającą się stale na powitanie nowych czasów. Grupa najczystszych aryjczyków, jungsiegfriedów zwycięskich idzie przez sale i plac i naradzając się półszeptem, rozpoczyna szaleńczy marsz ku dwudziestu stolicom Europy. Za nim ciągną legiony potulnych czując smak awantury na ustach, jakoś bez strachu, w przyszłość odzywającą się fanfarami.



Podczas gdy trwa zacięta walka, gdy szaleje terror hitlerowskich bojówek rząd niemiecki pragnie odwrócić idącą zagładę modlitwą i pokutą. Oto fragment demonstracyjnej procesji Bożego Ciała w roku 1931, w której udział wzięli wszyscy prawie ówcześni ministrowie Rzeszy. Na zdjęciu widzimy sześciu ministrów ze świecami w ręku.

Przypomnienie pierwszych lat awantury wydało nam się potrzebne w chwili, gdy trzydzieści partii na Zachodzie Niemiec znów zbiera się po knajpach i remontując piwiarnie odczytuje broszurki o przezwyciężaniu mafii procentu. Uczmy się historii bez bicia serca. Skalpel sprawiedliwości, odłączający urodziwy naskórek od zakrwawionych płatów mięsa, ukazuje nam mechanizm zbrodni, kryjący się w drżących muskułach, w wodnistych płatach mózgu. Uczmy się historii bez romantycznej autosugestii. Dzieje partyjnej awantury hitlerowskiej tak widziane nie mogą porywać ale wzbudzają obrzydzenie.

Paweł Kupke



Völkischer Beobachter

Die Blockade in Sicht!

Strona tytułowa naczelnego organu partii hitlerowskiej w pierwszym dniu przekształcenia pisma na dziennik

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Porachunki z powieścią powojenną

Przyjął się u nas cenny zresztą i pożyteczny zwyczaj, że krytycy gromadzą w książkę co pewien czas najważniejsze swoje artykuły drukowane latami w czasopismach literackich. Zwyczajowi temu zawdzięczamy wiele poważnych publikacji krytyczno-literackich, że wspomnę choćby tylko książki niezapomnianego Karola Irzykowskiego czy Wacława Borowego. Rzecz prosta, że tego rodzaju książkowe powtórzenie kilkunastu czy kilkudziesięciu nawet studiów literackich nie może odbywać się mechanicznie. Przystępując do książkowego przedruku swoich drobniejszych prac, autor dokonuje przede wszystkim wyboru, planuje konstrukcję całości a często też podejmuje zmiany i uzupełnienia. Czym więcej tego rodzaju pracy wkłada w przygotowanie książki, tym trwalszy i cenniejszy bywa rezultat ostateczny, tym pełniejsze powstaje dzieło.

Kazimierz Wyka w „Pograniczu powieści" dał wzorowy wprost przykład bilansowania kilkuletniego dorobku krytycznego w doskonale skonstruowaną, zwartą i logiczną całość. Książka jego nie jest już przedrukiem, jest nowym opracowaniem rozpraw, studiów krytyczno-literackich i recenzji, które autor ogłaszał w latach powojennych w czołowych pismach literackich. Każde niemal ogniwo tej książki otrzymało swoje uzupełnienie wiążące je z główną myślą książki, z jej osią konstrukcyjną, rozszerzające i aktualizujące argumentację, powiększające materiał porównawczy. Praca ta stanowi jeden z decydujących momentów dla wartości książki, ale nasuwa równocześnie i inne jeszcze spostrzeżenie: narastający w ciągu trzech lat materiał krytyczny pozwalający na takie skonstruowanie całości książkowej stanowi dowód systematyczności Wyki jako krytyka i komentatora literatury współczesnej. Czujnej i wnikliwej obserwacji Wyki, który po Stefanie Kołaczkowskim objął katedrę nowszej literatury w Uniwersytecie Jagiellońskim specjalizując się w zakresie pozytywizmu i modernizmu, nie umyka żadne ważniejsze zjawisko literackie w chwili obecnej. W ten sposób jako historyk literatury kontynuuje przerwane przedwczesną śmiercią dzieło Kołaczkowskiego, jako krytyk natomiast staje się bezsprzecznie spadkobiercą tradycji drugiego swego mistrza, Karola Irzykowskiego.

Ponieważ podkreśliliśmy na wstępie zalety konstrukcyjne książki, zacznijmy od przyjrzenia się tej konstrukcji. „Pogranicze powieści" składa się z dwóch części. Pierwsza z nich „Zapowiedzi i postulaty" obejmuje trzy studia literackie o dużym znaczeniu: „Tragiczność, drwina i realizm", „Żywotne tradycje prozy polskiej" oraz „Po dwóch wojnach". Myśli w nich zawarte, charakterystyki zjawisk literackich i wnioski stanowią teoretyczną podbudowę pod znacznie obszerniejszą część drugą książki, zatytułowaną „Sprawdzenia". Tych sprawdzeń swoich tez i wniosków dokonuje Wyka na przeszło trzydziestu książkach wydanych po wojnie. Dobór materiału do tych sprawdzeń nie jest przypadkowy, przeciwnie jest celowy przez usiłowanie wydobycia książek najbardziej charakterystycznych, świadczących o najbardziej znamiennych postawach autorów wobec świata i sposobach przejawiania się tych postaw w opracowaniu materiału powieściowego. Ten punkt widzenia krytyka decyduję czasem, że po argumenty sięgać on będzie do książek bez przyszłości, książek pełnych artystycznych niedoskonałości, ale ważnych ze względu na moralną i ludzką problematykę podejmowaną przez autora.

Tytuł książki „Pogranicze powieści" spotykamy w niej powtórzony na czele rozdziału, w którym autor poddał analizie krytycznej „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej, „Droga wiodła przez Narwik" Pruszyńskiego i „Noc" Andrzejewskiego. Niemniej jest to tytuł przylegający dobrze do całości książki. Wyka charakteryzuje prozę polską po wojnie jako stojącą na pograniczu powieści, w pełnym sensie tego słowa powieści realistycznej. I właśnie przysłowie „realizm" daje przegląd zawartej w nim problematyki artystycznej niezwykle trafny w swych sformułowaniach i ważny dla określenia pozycji, w jakiej znalazła się proza polska po wojnie. Stwierdzeniem kapitalnym w tej części rozważań Wyki jest wniosek, że realizm zależy od form opisywanej przez artystę rzeczywistości, od ich dojrzałości do realistycznego ujęcia. Jako pewnik drugi realizmu ustala Wyka tezę, że „dla realizmu historia stwarza warunki, nie stwarza realizmu samego". Na pytanie, czy w dzisiejszej rzeczywistości istnieją już warunki, które pozwalałyby na budowanie realizmu artystycznego, Wyka odpowiada negatywnie. Te warunki dopiero się tworzą. W dzisiejszych warunkach historycznych nie ma miejsca na realizm wybaczający w imię humoru typu Dickensa, Prusa, Turgeniewa, nie ma miejsca na realizm wynikający z obiektywnego szacunku epicznego, dający w rezultacie epopeje, co związane jest zawsze z pojawieniem się wielkiego twórcy. Pozostaje dla nas w tym punkcie historii możliwość jednej tylko formy realizmu — tego realizmu, który wywodzi się z pasji satyrycznej, „z przenikliwości w dostrzeganiu form społecznych, przenikliwości chętnej jak u Balzaca, dezaprobującej jak u Flauberta". „Ponieważ wielka sytuacja realistyczna Polski dzisiejszej powstaje właśnie z przemiany społecznej, zatem ten realizm, który umie dostrzec te przemiany, a nawet je przewidzieć, jest najbardziej upragniony". Te odmiany realizmu nie istnieją samodzielnie, krzyżują się i łączą, nie mniej są to typowe i tradycyjne postawy realisty wobec świata i kształtowanej w dzieło literackie rzeczywistości. Do tej charakterystyki realizmu opartej na doświadczeniach przeszłości dodaje Wyka jeszcze jedną cechę: „realizm jest najbardziej otwartą formą sztuki", jego elementem zasadniczym jest element „obiektywnej niespodzianki"; punkt wyjścia realisty jest z pozoru oczywisty, przedstawiany przez niego świat jest do siebie obiektywnie podobny, ale wyniki tego założenia są nieprzewidziane, nie zależy od pisarza, lecz od form, jakie zastaje. Pisarz musi wejść w treść wszystkich bez wyjątku doświadczeń naszego czasu i nie wolno mu się cofać przed żadnym niespodziewanym, najbardziej nieoczekiwanym i nieprzewidzianym rezultatem końcowym tych doświadczeń.

Postawę krytyczną Wyki określić można jako typowo realistyczną. Jest obiektywna i spokojna, surowa i pełna intelektualnej pasji dociekania prawdy i istoty zjawisk artystycznych, unika pośpiesznych i doraźnych sformułowań i łatwych a efektownych przepowiedni. Autor „Pogranicza powieści" jest szczególnie ostrożny w stawianiu postulatów. Nie należy zupełnie do obozu niecierpliwych. Wiąże sztukę umiejętnie i subtelnie z epoką i rozwojem społecznym, trafnie ujmuje zależność zjawisk artystycznych od momentów politycznych i socjalnych, zdaje sobie doskonale sprawę z tego, z jakich elementów ma być i winien być budowany nowy realizm polski, ale przewaga jego nad wieloma krytykami powojennymi leży w tym, że uświadamia sobie tak jak nikt inny istotne możliwości naszej prozy współczesnej i jest realistą w ich ocenie. Jego pozytywne lub negatywne ustosunkowanie się do poszczególnych pozycji naszej najnowszej prozy zależne jest od tego, w jakim stopniu dostrzega w nich zadatki nowych form artystycznych, w jakim stopniu może mówić o nich jako o książkach stanowiących ogniwa przyszłego rozwoju naszej literatury w kierunku pełnego realizmu, w jakim stopniu doskonalą one środki i narzędzia pisarza przygotowując je na moment, kiedy rzeczywistość okrzepnie w formy gotowe do realistycznego ujęcia. Dlatego z brakami i niedojrzałością artystyczną niektórych książek rozprawia się chłodno, czasem jednym zdaniem, czasem kilkoma zawsze celnymi i precyzyjnymi słowami, które inny krytyk rozwiódłby w długą, tzw. miażdżącą ocenę i potępienie. Dla Wyki ważniejsze są zawsze pozytywne momenty dzieła literackiego i wykazanie przez analizę i wnioski, co przeszkodziło pisarzowi zrealizować tkwiące w nim możliwości. Poza pasją intelektualnych dociekań dostrzegam w krytyce Wyki jedną jeszcze pasję — pasję twórczego współdziałania. Wyka pragnie, by krytyka jego oczyszczała łożysko nurtu literackiego z przeszkód i zatamowań, które w nim leżą, by prostowała jego meandry i przyczyniała się do podtrzymania dążeń istotnie twórczych, zmierzających ku nowym celom artystycznym. To usiłowanie widać w stosunku do każdej omawianej książki, ale najpełniej wyraża się ono w pierwszej części „Pogranicza powieści", w rozprawie z tradycjami międzywojennego dwudziestolecia naszej literatury, z tradycjami prozy Żeromskiego i Reymonta przy podkreśleniu żywotności wzoru, jaki zostawił nam w prozie swojej Prus, w świetnej krytycznej analizie sytuacji literatury polskiej po pierwszej i po drugiej wojnie światowej.

Nie można też przejść do porządku nad stroną językową i stylistyczną prozy krytycznej Wyki. Nie jest to styl łatwy, ale zasób słownictwa i określeń jest tutaj ogromny. Znać tu wyraźnie świadomy i wielki wysiłek pisarza zmierzający do wydoskonalenia środków wypowiedzi. Przede wszystkim dążenie do precyzji określeń i sformułowań, do ich jednoznaczności, do wyeliminowania żargonu krytycznego i żonglowania terminami bez sprawdzenia ich istotnej i pełnej treści. W tym zakresie osiąga Wyka rezultaty dużej miary, wypracowując sobie własny styl wypowiedzi krytycznej o dużych walorach artystycznych, o których decyduje plastyka i śmiałość porównania i metafory. Te elementy jego prozy krytycznej uderzają swoją wyrazistością i trafnością. Są często nawet dosadne, zaprawione ironią a zawsze dopełniają jeszcze jednym błyskiem światła przesłankę analizy czy treść ostatecznego wniosku. Wyka to niewątpliwie pisarz wysokiej klasy. Jego proza nabiera pełnego blasku dopiero w essayach, które znamy z czasopism, i dla których przyszła już pora, by ukazały się w książce.

„Pogranicze powieści" jest chyba najlepszym dopełnieniem wlokącej się u nas od kwietnia 1945 roku wielkiej dyskusji o realiźmie, która utykała wciąż na wielu mieliznach nieporozumień i zbytnich ułatwień problemu. Zamyka pewien etap tej dyskusji a czyni to w sposób, który pozwala za przyjęcie jej za podstawę już nie teoretycznych dociekań, lecz za pewnego rodzaju punkt wyjścia dla pisarzy, którzy realizm ten pragną tworzyć i współdziałać w jego kształtowaniu się.

Zdzisław Hierowski

Teatr w Bielsku i Cieszynie



Teatr Polski w Bielsku i Cieszynie wystawił „Sprawę Moniki" Marii Morozowicz-Szczepkowskiej. W scenie aktu I widzimy Teresę Marecką (Monika) i Wandę Stanisławską (Antosia).

Ciemności

(Dokończenie ze str. 1)

LUTZ: Nagle. W swej bibliotece.

VON HERDBERG: Należałoby go też tam chwilowo złożyć. Żył przecież prawie tylko jeszcze ze swymi książkami.

PROFESOR FRIEDLÄNDER: Tak jest, i ze swymi dwoma psami. Wabiły się Ping i Pong.

LUTZ: Tak. I ze swym uporem!

PROFESOR FRIEDLÄNDER: Radca komercjalny miał silną wolę.

LUTZ: Niech pan raczej powie, że był niezbadanie krnąbrny. Za wszelką cenę wyrywał się jeszcze do pana, do Ronstock, panie von Herdberg. Gdybym ja go nie był powstrzymał, byłby umarł przy pańskim kominku.

PANI VON HERDBERG: Chętnie z nami wieczorem siadywał przy naszym kominku.

LUTZ: Nie było lekko z tym starym człowiekiem.

VON HERDBERG: Za to nie był to też byle kto.

LUTZ: Panie von Herdberg: mój ojciec kochał pana. Wydaje mi się nieomal, że bardziej niż swych synów.

KRONER: Żyjemy w wielkiej godzinie.

LUTZ: To jest właściwe określenie. Dlaczego, panie Kroner?

KRONER: Dużo teraz czytam Josephusa. Tytus zburzył Jerozolimę.

VON HERDBERG: Czytałem znowu ostatnio Księgę Machabejczyków. Mniejwięcej dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej uczynił prawie że to samo Antiochus. Nie znam żadnego innego losu jakiegokolwiek narodu — skromny już wreszcie zbliżył się do tego, co nas wszystkich w dzisiejszych czasach zajmuje —, który by pod względem potęgi i tragicznej wielkości dorównywał losowi narodu żydowskiego. — Ale proszę mi wybaczyć to banalne stwierdzenie.

LUTZ: Mógłbym raptem zerwać się. Mógłbym biegać w kółko, mógłbym cały świat, Boga i diabła pozwać na świadków, że nas się wbrew prawu, wbrew naturze, niedorzecznie i po barbarzyńsku krzywdzi. Ale ja sam już w sobie tę walkę wywalczyłem i musiałem do milczenia.

KRONER: Ja nigdy nie żyłem inaczej, jak pan żyje dzisiaj. Co dla pana dzisiaj znowu raz staje się jasne, dla mnie nigdy nie było niejasne. Czy nie wydaje się panu, że ja nigdy nic innego jak tylko skargi Jeremiasza formowałem i wykuwałem w marmurze.

LUTZ: Tak. Żona pańska skarżyła się z tego powodu. Podobno pan godzinami w swej zamkniętej pracowni płacze i woła.

KRONER: Sprowadziłem tam także moją rodzinę. Musieli uklęknąć naokoło jednego ołtarza, który ulepiłem z gliny i odlałem w gipsie. A ja przepowiadałem im słowa, które oni musieli powtarzać za mną, które musieli wyszlochiwać, wypłakiwać: „Panie, jak długo mam krzyczeć, a Ty nie chcesz mnie wysłuchać? Jak długo mam wołać do Ciebie ponad zbrodnią, a ty nie chcesz pomóc!"

LUTZ: Czy mój ojciec ma to od pana, czy pan ma to od niego? Albowiem na tym papierze wypisał on to własnoręcznie w ostatniej noc.

KRONER: Obaj mamy to od proroka Habakuka. Jest u niego jeszcze inne zdanie: „Biada temu, kto miasto buduje krwią i zaprawia je nieprawością!"

VON HERDBERG (*do Lutza*): Jak ustosunkowywał się ojciec w ogóle do nagłych przemian w czasie?

ESTERA: O tym z ust jego nie padło żadne słowo.

ROTHERFÜR (*mówi Esterze do ucha*): Brat pani właśnie przybył.

ESTERA: Proszę go poprosić na górę.

Rotherfür idzie do drzwi i przekazuje polecenie komuś, kto stoi na zewnątrz.

LUTZ: Oto przybywa mój szwagier. Niemiec w każdym calu, w każdym swym tchu. Był asystentem w szpitalu, lecz musiał opuścić swą posadę.

Gwałtowny zryw wiatru otwiera jedno okno i niektóre drzwi. W jednych spośród rozwartych drzwi stoi Zygmunt Israel.

PANI VON HERDBERG: Boże święty! Boże święty!

ROTHERFÜR: To nic, łaskawa pani! Już od wielu tygodni jest susza i parno. Zboże uschło na polu. Taka burza ma wartość złota. Proszę jedna za drugą błagają o deszcz.

Służący i Lutz zamykają okna i drzwi. Gdy to zostało zrobione, podchodzi Lutz do szwagra i wciąga go do pokoju.

LUTZ: Witam cię serdecznie, choć okazja jest smutna. Tu jest twoje nakrycie. Zajmij miejsce bez ceremonii! Mój szwagier. Dr Zygmunt Israel — baron von Herdberg i jego żona. Wszyscy pozostali znają się.

Estera wstaje, chwyta się za serce.

PROFESOR FRIEDLÄNDER: Miał pan dobrą podróż?

ZYGMUNT ISRAEL: Jak może zła podróż stać się dobrą? Dobra podróż musiałaby stać się złą, jeżeli taki ma powód.

PROFESOR FRIEDLÄNDER: — Święta prawda, święta prawda, doktorze Israel.

ZYGMUNT: Dlaczego patrzysz na mnie taka przestraszona, gołąbku?

ESTERA: Nic dziwnego, jeśli się w takich czasach widzi upiory. Bo ty mi się wydajesz taki całkiem zmieniony, Zygmuncie!

ZYGMUNT: Jestem też zupełnie zmieniony, gołąbku. Stałem się o półtora tysiąca i więcej lat młodszy.

VON HERDBERG: Te liczne zmiany kierunków są w tym roku całkiem nie do zniesienia.

ZYGMUNT: Nie do zniesienia! Tylko nazbyt prawdziwe! Ale wszystkie ulice są nie do zniesienia, wszystkie podróże są nie do zniesienia, wszelka wędrówka jest nie do zniesienia. Spotkałem wóz z trumną radcy komercjalnego. Tu jazda — i tylko ta — byłaby po mojej myśli. Z radością bym ją od niego kupił.

LUTZ: Co ci jest, Estero?

ESTERA: Nie wiem.

Wstała i chwiejnym krokiem idzie do drzwi. Lutz idzie za nią i bierze ją pod ramię.

ESTERA: Przepraszam w moim imieniu gości! Odpocznę tylko na chwilę. (*Dotyka ręką czoła i próbuje się opanować*). Nie, w takich chwilach nie można sobie folgować. Pan von Herdberg ma rację: trzeba nagiej prawdzie spojrzeć w nieubłagane oczy.

ZYGMUNT: Tak, gołąbku, ty jesteś córką arcykapłana! Ty odepchnęłaś Heroda, wyniosła i dumna, gdy prosił cię o miłość. Ty uniosłaś misterium Judy poprzez wieki do dzisiaj.

ESTERA: Słyszę tylko, jak słowa uderzają o moje uszy a nie wiem, czy są wypowiadane i kto je mówi. Odnoszę wrażenie, jeżeli mnie chcecie posłuchać, jak gdybyśmy razem byli na jakiejś czarnej arce na czarnych falach, w czarnym powietrzu. Czy ja mówię, czy nie mówię? Czarna arka płynie przez wieki. Woda, z którą ona płynie, nie rozbiega się. Jesteśmy mieszkańcami wód potopu. Stale okłamywała nas jeszcze góra Ararat.

ZYGMUNT (*podnosi się*): Trzymajmy więc czarny szyld żelaznej prawdy ponad nami.

Znika. Ogólne poruszenie. Profesor Friedländer i Lutz są zajęci Esterą, która zdaje się być bez świadomości. Kroner chodzi tam i z powrotem i trzyma obie ręce na skroniach.

KRONER: Co się tu stało? Czy znajdujemy się jeszcze w świecie rzeczywistości?

VON HERDBERG: Muszę przyznać, że odniosłem wrażenie, jakoby powietrze było nasycone magią. Jakaś hypnoza przeszła nad nami. Winna była burza i oberwanie się chmury, przypuszczam. Ale wróćmy do trzeźwego myślenia!

KRONER (*ze słabym patosem*): W jakie zbłądziłaś strony czarna łódko? A wy, niesieni przez nią, skąd przybywacie? Muszę świętymi nazwać was pod wiatrem przekleństwa, które wzdyma wasze żagle.

Sytuacja wygląda tak, jak gdyby burza, która się zerwała, wywołała zamieszanie w towarzystwie i poraziła służących, a teraz wszystko wraca do dawnego porządku.

PROFESOR FRIEDLÄNDER: Burza przeszła i niebo jest znowu gwiaździste.

VON HERDBERG (*do Kronera*): Gdzie pan znalazł te wiersze?

KRONER: We własnej głowie. Umieściłem je u stóp pewnej grupy z potopu.

ESTERA: (*opanowując się, z szeroko otwartymi oczyma, jeszcze stojąc*): Niebo jest znowu gwiaździste! Niebo, niebo!

VON HERDBERG: Nie wiem, czy to Tybetanie twierdzą, że najwyższy stopień poznania osiąga się w chwili zgonu.

KRONER: Zdaje mi się, żeśmy coś przeżyli. Zdaje mi się, że umarły był z nami.

LUTZ: Niech pan nie mówi takich nonsensów, Kroner!

ESTERA: Tak, mój teść był tutaj. Siedział po tamtej stronie. Krzesło jest puste.

LUTZ: Nic dziwnego. W ostatnich dniach przeżyliśmy trochę za wiele.

PROFESOR FRIEDLÄNDER: — Gdzież to podział się pan dr Israel?

ROTHERFÜR: Powiedział, ażebym go usprawiedliwił. Musiał bezwarunkowo wpierw udać się do kąpieli. Pośpieszy się i tak prędko, jak tylko jest to możliwe, przyjdzie na górę.

SCENA PIĄTA

Zygmunt Israel wchodzi, zegar bije.

ZYGMUNT: Proszę mi wybaczyć.

LUTZ: Teraz jesteś to chyba naprawdę ty, Zygmuncie?

ZYGMUNT: Naprawdę?

LUTZ: Byłeś tu już raz, siedziałeś tam i rozmawiałeś z nami.

ZYGMUNT (*śmieje się*): To chyba był prorok Eliasz albo Wieczny Żyd.

KRONER: Albo apostoł Jezusa, Jan.

Następują prezentacje. Dr Israel zajmuje miejsce za swym nakryciem i zaczyna jeść.

ZYGMUNT: Wszyscy zatem w mieście uchylili się od pogrzebu?

LUTZ: Nie. Zlitowaliśmy się. Nie chcieliśmy nikogo narażać na konflikty. Nekrolog ukaże się jutro w gazecie wieczornej, gdy ojciec już będzie leżał w ziemi.

ZYGMUNT: Dobrze mu tam. Czy daliście sporządzić maskę?

KRONER (*podnosi się*): Czy mogę ją przynieść? Trzeba tę maskę traktować jak zagadkę nie do rozwiązania.

LUTZ: Pójdziemy przecież potem do pokoju koncertowego.

ZYGMUNT: Niech pan przyniesie. Jestem chirurgiem. Mnie coś takiego nie przeraża. My, medycy, jesteśmy zahartowani.

KRONER (*oddali się i wraca z maską, trzyma ją w rękach przed doktorem Israelem*): Wódz Berberów, Hamita, który na białym ogierze jechał przez pustynię.

ZYGMUNT: To — naprawdę? — jest radca komercjalny? Nigdy bym go nie poznał!

KRONER: Nie mogę uwolnić się od tej maski. Wydaje się, jak gdyby jakaś wcześniejsza egzystencja, może jego prawdziwa, uwolniła i wyzwoliła całkiem jego twarz, jak jądro ze skorupy.

LUTZ: Mój ojciec osiągnął swoje lata. Musiał umrzeć. Wszyscy musimy. Umrzeć muszą także ci, którzy chóralnie krzyczą: „Juda verrecke!" Gdyby mieli słuszność, kto miałby co naprzeciwko temu? Ale — surowe prawo naszego surowego Pana Zebaoth nie pozwala na to. Umieścił on nas w jakimś żywiole ponad glebą ziemi, który nasze stopy nie śmią dotknąć. Tak tu płyniemy, prześladowani, dręczeni, zabijani, ahaswerscy i pozbawieni spokoju, ale nieśmiertelni przez wieki!

VON HERDBERG: Nie tylko wy, Żydzi. To dotyczy nas wszystkich.

Gerhart Hauptmann

Przełożył z niemieckiego *Aleksander Widera*

Młodzi poeci

STANISŁAW PIASTOWICZ

Mój Śląsk

Tą drogą
prowadzi do kopalni.
Idą starzy i młodzi
górnicy po dwóch, po trzech.
Słońce za takim trudem przedziera
się przez grubą całun utkany z dymów —
a małe dzieweczki
wracające ze szkoły
wkładają skórzany
hełm ojca na głowę
i mówią:
hełm naszego ojca
jest ciężki

Na rynku — mali chłopcy
stoją przy wózkach
z czarnym tłustym węglem
i wołają
kupujcie węgiel,
który daje ciepło

Maszynista pali fajkę,
lecz trudni się myślą jak wybrnąć
z zawiłego labiryntu torów.
Uśmiecha się i czyta gazetę
— Rybnickie Zjednoczenie
przekroczyło plan...
— Robotnicy portowi
we Francji strajkują...
Jutro przyjadą goście z Czechosłowacji

i stoły, szafy wydają się, jakby nagły żal
zaimprowizowany ilcami drzewa.
A tylko nie była nieczuła na przyjście świtu,
dławiąc czarną łapą gardło nieba w skoliery wschodu,
gdzie miała wypływać wielka łza
krwawiąca bólem mego odejścia.

KONRAD PIOTROWICZ

Odjazd

Gładki błękit nieba
w szkarłatnej glorii dogasa
i pasmo mroku
dmie od narodu
Księżyc ustroił blaskiem
wygiętą przełęcz w dolinie
i ginie wśród liści szeptania
skrzydlatych śpiew

Zamyślony
z bólem pulsującej piersi
w żałobie nocy
pieszczony melodią drzew
odchodzę
by świat rozumieć więcej

Rodzinny dom

Wyrosły z potu ojca i matki
kamienny cichy domu wsi
ogród łańcuchem krzew otacza
Tu zielone przęsła traw
rozchyla się wśród kamieni
i pszczoły wykradają kwiatom
miodem pachnący pył

U okna winogron
przysiada czasem wiatr
by szeptać zagadać
do pająków u szczelin
W izbie stołce mieszka
i młody blask księżyca
przenika przez kwadraty szyb

Tu ptaki w bruzdach czarnoziemu
piją wilgoć z traw
ranki z drzew zawieszą mgłę
i krzyk jaskółek przemyka
Ten dom wielbią rymem poeci

RYSZARD JĘDRASZCZYK

Odjazd

Trudno jest udawać obojętnego,
gdy mógł parzy odjazdem
i chwila niedalekiego rozstania
składa we mnie trzewia niepokromione
rzeczy martwych i błahych.

Matkę trwożę myśl o utracie,
która prawie zmyliła krzątaniem się
wokół walizek i paczek
dotyka ich nie wiem po raz który.

Stoją gotowe do odjazdu
dwie opasłe walizy które
zjadły memu domowi połowę
strawy i zabrały połowę mądrości —
książki, martwe gdy leżą na półkach.
Ojciec w roboczym fartuchu
przedtem jeszcze smutek zgubiwszy
w własnych krokach, podąże
dłoń pracy dobrze znaną, co jest
jak nieme przyznawanie się syna.

Trudno jest jednak unieść serce
ponad progiem, chociaż miłości nie
zostawię się na łasce losu,
tym bardziej, gdy czuję się krzyżem
nad płomieni stworzony czułą ręką.

I odjeżdżam przez wszystkich źle znany,
nawet kot zaspany dźwięk swój żal
garbem ku niebu.

Miesiąc polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej

Zadania muzyki sowieckiej

Obrady muzyków w Centralnym Komitecie Partii Bolszewickiej oraz mowa Żdanowa zapłodniły nadzwyczajnie działalność kompozytorów sowieckich. W kraju sowieckim, w którym stoją kompozytorom otworem nieograniczone możliwości twórcze, i w którym istnieją najkorzystniejsze warunki rozkwitu kultury muzycznej, my kompozytorzy nie możemy sobie nie uświadamiać jasno faktu, że naród domaga się od nas ideowo wysoko stojących dzieł we wszystkich dziedzinach muzyki. Jednym z najważniejszych naszych zadań jest tworzenie klasowych oper sowieckich.

Odrodzenie opery nie jest możliwe bez wytężonej pracy nad melodią, której żywe odczucie zanikło pod wpływem modernizmu. Jest to zrozumiałe, gdyż jasna melodia powstaje tylko wówczas, gdy wypływa z bezpośredniego i realnego ludzkiego uczucia, do którego bezideowa, obca narodowi, formalna sztuka jest najmniej zdolna. Klasycy sztuki rosyjskiej widzieli w muzyce przede wszystkim środek „znalezienia kontaktu z innymi ludźmi" i wychowanie człowieka. Dlatego też, w dążeniu do najwyższej jasności i prostoty w swych utworach, zwrócili się do różnorodnych m. in. do tych najłatwiej zrozumiałych rodzajów sztuki muzycznej.

„Niema nic bardziej bezpłodnego jak gonitwa za oryginalnością i samodzielnością" pisał Czajkowski. „Genialni twórcy nad tym się nie zastanawiają. Oni szukają piękna, a czy jest ono oryginalne, czy zapożyczone, okaże się później!"

Stąd jest widoczne, że prawdziwe nowatorstwo nie oznacza wyrzeczenia się tradycji, lecz dalszy rozwój estetycznych zadań, wynikających z nowego czasu, nowych idei i życia duchowego narodu. Kompozytorzy mogą tylko wówczas zostać uratowani i znaleźć drogę do mocnego rozwoju swej artystycznej twórczości, kiedy wytworzą profesjonalną, „uczoną" muzykę, muzyką ludową.

Genialni przedstawiciele sztuki muzycznej nie ignorowali nigdy kultury innych narodów, umieli wydobyć z niej zdrowe i wartościowe jądro i użytkować w rozwoju własnej sztuki narodowej, czyniąc to zresztą „bez przesady i uniżoności", jak powiada Stassow.

Obserwując klasyczną kulturę Rosji, dostrzeże każdy nieuprzedzony badacz, że wszystkie dzieła wybitnych, postępowych artystów posiadają jedną wspólną cechę. Tę cechę znajdujemy zarówno w malarstwie, w literaturze, muzyce jak i sztuce scenicznej. Otóż sztuka rosyjska jest głęboko zakorzeniona w ludzie i nierozerwalnie związana z demokratycznymi ideałami postępowej części rosyjskiego społeczeństwa.

Myśl stworzenia rosyjskiej sztuki narodowej, która by wyczerpywała doszczętnie bogate życie narodu, zbliżyła do siebie artystów najróżniejszych środowisk i indywidualności. Znana jest szczera sympatia, jaką miał Tołstoj dla sztuki Ostrowskiego, szacunek, z jakim spoglądali Czechow i Czajkowski na Tołstoja, ścisłe powiązanie Repina ze Stassowem i kręgiem otaczającym Bałakinowa, a wreszcie twórcza przyjaźń, jaka łączyła Szaliapina z Rachmaninowem i plejadą wielkich, rosyjskich malarzy.

Należy zaznaczyć, że rosyjscy artyści nie stracili nawet wówczas z oczu owego jednolitego celu stworzenia narodowej sztuki rosyjskiej, która po raz pierwszy w dziejach kultury świata zastępowała namiętnie i bezkompromisowo zasadę realizmu ludowości i zrozumiałości sztuki, kiedy dzieliły ich różnice metod pracy, np. właśnie Czajkowskiego i „Możną Garstkę".

Przed kompozytorami sowieckimi stoi oddawna historyczne zadanie, obudzić do nowego życia wszystko co wartościowe, zamknięte w klasycznej tradycji, do czego zresztą Centralny Komitet Partii Komunistycznej ZSRR (bolszewików), artystów nawoływał.

Te tradycje zostały, pod wpływem całego szeregu warunków, zapomniane.

Ze śmiercią genialnego kompozytora Rimskij-Korsakowa w roku 1908, która zbiegła się w czasie z szalejącą polityczną reakcją w Rosji, rozpoczął się upadek kultury muzycznej w Rosji, a nauka estetyki klasyków muzyki rosyjskiej została zapomniana.

Tym samym umocniły się różnorodne obce wpływy: modernizm i pęd do efektów formalistycznych.

Niektórzy kompozytorzy sowieccy, nie uwolnili się niestety od tych obcych naszemu myśleniu wpływów formalizmu, czy to w rodzaju gry modernizmu, naturalizmu lub ekstremistycznego subiektywizmu.

Hodujmy za tym tradycje klasycznej zachodnio-europejskiej, a w szczególności rosyjskiej muzyki, a dalszy rozwój muzyki w kraju sowieckim bez wątpienia wiele na tym zyska.

Autor tych wierszy występował zawsze namiętnie za tym, by muzykę sowiecką rozwijać dalej na podstawie klasycznej muzyki rosyjskiej. W tym sensie kończę właśnie kantatę „Ballada o wojnie" i tworzę melodie do wierszy poetów sowieckich w formie romanc.

J. Szaporin.
Przełożył As.

MIECZYSŁAW FRENKEL

Odprawa posłów

W Katowicach w lokalu Związku Zawodowego Literatów Polskich odbyła się dyskusja między literatami a grupą posłów do Sejmu Ustawodawczego na temat zadań i przyszłości pisarzy. Posłowie zarzucili literatom, że żądają warunków cieplarnianych, — argumentując w ten sposób, iż największe dzieła literackie powstawały w latach nędzy i niedoli twórców (Wielka Emigracja, miniona okupacja); powtórzyli też skądinąd znane już lekkomyślne zarzuty, że literaci oderwali się od mas ludowych, przy czym jako argument wysunęli m. in. fakt, że nieobecność literatów na galerii dla publiczności w czasie obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej, gdzie dyskutowane są właśnie sprawy narodu, potwierdza jedynie to odrywanie się od rzeczywistości. Ano, dla jednych rzeczywistość streszcza się w obradach... Nieporozumień było sporo, a ponieważ są one charakterystyczne dla wielkiej grupy niektórych naszych przywódców politycznych i pracowników społecznych ponieważ zdarzają się one na terenie całej Polski, drukujemy poniższe uwagi, nie po raz pierwszy i niestety chyba nie po raz ostatni wyjaśniając pewne zasadnicze sprawy które winny być w tej właśnie formie znane i bliskie ludziom, którzy reprezentują opinię społeczną i narodową w najwyższej instytucji narodowej jaką jest Sejm.

Byłem ostatnio zaskoczony zarzutami podniesionymi przez posłów i zastanawiałem się nad ich słusznością. Padły słowa dużego kalibru o domaganiu się przez nas warunków cieplarnianych i o nędzy jako najzdrowszej pożywce dla talentów. Dowodzono, że w czasach okupacyjnych pisaliśmy w ciężkich warunkach dobre i pożyteczne książki, służyła nam zatem bieda i że w ramach niewoli zakwitała nasza wola tworzenia. Z tych premis wyciągnięto konkluzję, że ułatwianie nam życia jest podcinaniem korzeni i udaremnianiem naszego owocowania. Verbis expressis powołano się nawet na święte cienie Mickiewicza, obawiałem się przez jedną chwilę, że wspomni się z Munthego o słowikach śpiewających najsłodziej, gdy im się odbiera wzrok. Zdumienie moje rosło kiedy usłyszałem, jak mało się pisarze dzielą swoimi dorobkami z ludem, jak znikomy jest ich wkład przy wspólnym wysiłku budowania Polski Ludowej i jak bezskutecznie nas się wzywa do nawiązania kontaktu z rzeczywistością której rzekomo nie znamy i od której stronimy. Jeden z posłów wyosobnił nas w osobną klasę społeczną i własnym nie wierzyłem uszom, że pokutuje jeszcze w umysłach polityków duch państwa korporacyjnego. W ferworze dyskusji odpowiadano posłam dorywczo, ex abrupto, wskazywano na bolączki, powtarzano komunały, poruszano kwestie dotacji na wydawnictwa i subsydiów indywidualnych, wentylowano rzecz fragmentarycznie i niedość wyraźnie odpierano ciężkie zarzuty posłów i zachwalaną terapię niedostatku jako remedium literackiego doloris. Przyjmuję, że wypowiedzi, posłów były głosami odosobnionymi i że społeczeństwo ludzi pracujących inaczej nas pisarzy ocenia, uważam jednak za konieczne odpowiedzieć na te zarzuty i żale, aby się nie zakorzeniły na dobre i nie zmieniły się w broń przeciw nam.

Nie jesteśmy klasą społeczną, lecz grupą zawodową wśród innych grup zawodowców w społeczeństwie pracujących. Należymy do wielkiej rodziny klas pracujących i jako jej członkowie walczymy o lepsze jutro wraz z nią. W walce klas najlepsi pisarze stanowili czołówkę atakującą przywileje posiadających i bronili bastionów upokorzonych i krzywdzonych. Nic się w tej konfiguracji nie zmieniło. I zmienić nie może. Każdy pisarz jest, jeżeli jest pisarzem z powołania a nie z przypadku, pracownikiem sumiennym i ponosi pełną odpowiedzialność za wznoszony wspólny gmach i za szczegóły w jego planowaniu. Sumienie pisarskie każe mu dokładnie przyglądać się i badać rozwój człowieka w kraju, wzrost jego uświadomienia jako współtwórcy rzeczywistości i jego załamania się i odchylenia od linii rozwojowej. Jak każdy świadomy robotnik zrzeszony w związkach jest on również obywatelem solidarnie odpowiedzialnym za rozwój kraju w sensie dodatnim jak i za pomyślny rozwój swojej specjalności jako pisarz, jak każdy inny fachowiec za rozwój techniczny swojej specjalności. I jeszcze coś więcej. Pisarze jako inżynierowie dusz, według słów Stalina, odpowiedzialni są za przyszłość człowieka. Dlatego należą do czołówki kulturotwórczej i mają wielkie zadanie do spełnienia. Każdy pisarz świadomy swej powinności ma wypisane w sercu hasło: vivos voco, wzywaniem żywych do nieopuszczenia rąk, do wytrwania, do wzrostu intelektualnego tworzy kadry nowej przyszłości. Realizm socjalistyczny jest tworzeniem ludzi na wyrost, bohaterów wzorcowych, Korczaginów czy Woropajewów i wskazaniem, na jakich ludziach oprze się nowy świat pracy jako optimum naszych dążeń i jak wyglądać ma filar ludzki w wzniesionej wspólnymi siłami budowli. W rzutowaniu nowego człowieka my pisarze rysujemy profile tej psychiki na tle przemijającej rzeczywistości nie dla samego zachowania jej kształtu, lecz właśnie dla uwypuklenia tego wzorcowego bohatera, będącego wyrazem nie naszej indywidualnej tęsknoty lecz uwyraźnionej potrzeby ogółu. Przez uwyraźnienie tej potrzeby stajemy się twórcami nowego człowieka przepuszczonego przez filtr naszej wyobraźni.

Jak widzimy rola pisarza nie jest tak prosta, jakby się na oko wydawało. Nazwanie nas inżynierami dusz ma bardzo głębokie znaczenie i wychodzi poza zużyte ramy sloganu. Formujemy przyszłych pracowników, żołnierzy naszej niepodległości, bohaterów, polskich Korczaginów, hartujemy stal z mózgów i ścięgien i wielką mamy do spełnienia misję. Dlatego w ZSRR rząd odnosi się z pełnym zrozumieniem potrzeb i postulatów do pisarzy i traktuje ich jako budowniczych najważniejszego składnika w montażu przyszłości: duszy człowieka. Realizm socjalistyczny jako kierunek literacki równa się szeregowi pięcioleci w planowaniu na przestrzeni gospodarki materiałem ludzkim, jako materiałem psychicznym w państwie socjalistycznym.

Tych budowniczych duszy ludzkiej nie wolno ze względu na dobro powszechne narażać na niedostatek i na najgorsze warunki, aby im się ciężko żyło jak innym, jak to jeden z posłów sformułował; nie można ich przez nędzę łamać i skazywać na prywacje, aby w codziennym walczeniu o własny kąt tracili siły, które powinni poświęcać swojej pracy. To burżuazja widząca w pisarzach wiecznie niezadowolonych przeciwników i heroidów rewolucji chętnie widziała ich zajętych walką o kawałek chleba, łamała ich opór zniechęcaniem i nagradzała po śmierci pomnikami, aby ich przydusić kamieniem i okłamywać społeczeństwo fałszowaniem ich rodowodu, przyznając się łaskawie do pokrewieństwa z martwym duchem, gdy się nie przyznawała do żywego i morzyła głodem. Nie o cieplarniane chodzi warunki, nie o jakiś pryncypat, lecz o umożliwienie ludziom twórczym, aby mogli dać ze siebie wszystko według swych zdolności, a otrzymywali na ten cel minimum według swych potrzeb. Pisarz, jak każdy pracownik, ma prawo do swojej pracy i żadnego nie żąda wsparcia. Zapomogami degraduje się literata do roli nędzarza. Ale zmuszanie artystów do rozmaitych czynności biurowych, narzucanie im choćby najświetniejszych karier urzędniczych nie jest skutecznym sposobem otaczania opieką ich talentów, bywa ono raczej marnowaniem ich zdolności bez większych korzyści z nich na zajętych przez nich placówkach. Bez względu na ich własne samopoczucie w nowej roli, ich talent leży ugorem, a błyskotliwe życie w hierarchii biurokratycznej spacza ich siłę wzroku, zamąca ich spojrzenie na świat, każe im patrzeć na człowieka nie jak pisarzowi, lecz jak człowiekowi załatwiającemu sprawy za numerkiem. Robi z pisarzy nieużytków. Jeżeli niektórzy z nich „lecą na posady", czynią to po prostu dlatego, że nie daliby rady, gdyby utrzymać się mieli z produkcji pióra, poświęcając się jak każdy inny fachawiec swojej wyłącznie dziedzinie. Zapychanie tymi ludźmi rozmaitych dziur w urzędach nie świadczy o zrozumieniu ich posłannictwa i wytłumaczyć je można jedynie brakiem chwilowym odpowiednich kadr. Kumulowanie posad, zdarzające się tu i ówdzie, przez literatów przebywających stale w trzech czy czterech miastach, gdzie o takie posady nie tak trudno, nie przesądza sprawy borykania się pisarzy z trudnościami i nieuwzględniania przez sfery miarodajne ich znaczenia w państwie socjalistycznym. Paruset literatów na 25 milionów ludzi nie oznacza hiperprodukcji w tej grupie i nie może być powodem przesunięć czy przewarstwienia, aby te nieliczne szeregi przerzedzić. Należołby raczej zająć się ich przeszkoleniem, nie w sensie narzucenia im jakiegoś wspólnego mianownika, lecz celem nadania im jasno sformułowanej wytycznej w ich pracy twórczej, wciągnięcia ich w planową pracę przy kształtowaniu nowej rzeczywistości. Najzagorzalszy indywidualista wśród nich zgodzi się na taką realizację, skoro mu zaimponuje szerokością horyzontów i uwidocznieniem niewysłowionego dotąd przez pisarzy potężnego postępu.

Romantyka cierpiętnictwa w nowym układzie stosunków jest przeżytkiem. Wielu pisarzy przeszło taką gehennę w latach wojny, że nie powinno się im życzyć nowego i dalszego znęcania się nad nimi losu. Te lata w obozach, w podziemiu, w strachu o życie, w wiecznym borykaniu się z czyhającym złem, nie

(Dokończenie na str. 4)

Z cyklu: Teatry na Ziemiach Odzyskanych

Teatr olsztyński

Teatr Miejski im. Stefana Jaracza w Olsztynie, pozostający pod dyrekcją Wł. Surzyńskiego, rozpoczął sezon w dniu 7 października b. r.



Władysław Surzyński, dyrektor teatru olsztyńskiego.

Ze względu na późny termin powołania dyr. Surzyńskiego na placówkę w Olsztynie, zaistniała przede wszystkim poważna trudność w skompletowaniu zespołu artystycznego. Na miejscu bowiem została nieliczna grupa aktorów, zasłużonych dla teatru olsztyńskiego w pierwszym pionierskim okresie. Do tego zespołu, który mógł stanowić jedynie bazę operacyjną, należało doangażować artystów, którzy po większej części już zawarli kontrakty w innych teatrach. Mimo to udało się dyrekcji teatru skompletować zespół dobry i pełnowartościowy. Sporo w nim co prawda młodzieży ale utalentowanej.

Sezon otwarto „Kaśką Kariatydą" Gabrieli Zapolskiej. Zaraz po niej wchodzi na afisz „Subretka" Devala.



Fronton Teatru Miejskiego im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Intencją dyrekcji teatru jest dawanie częstych premier. I tak trzy pierwsze sztuki zmieniać się będą po dwóch tygodniach, następnie zaś, co trzy tygodnie. Przed każdym przedstawieniem wygłaszane będą prelekcje, a to w celu nawiązania bliższego kontaktu z widzem, wskazania mu, jak należy oglądać daną sztukę i jakie z niej należy wyciągnąć wnioski.

Specjalne zadania, jakie stoją przed jedynym teatrem w województwie olsztyńskim, wymagają opracowania repertuaru tak, aby odpowiadał on szerokiej skali zainteresowań. Obok więc wielkiej poezji, sztuk klasycznych, ujrzymy repertuar lżejszy, operetki i komedie muzyczne, utrzymane jednakowoż na wysokim poziomie. Po „Subretce" Devala, pójdzie montaż sceniczny pt. „Braterstwo Ducha", który wystawiony będzie w 31 rocznicę Rewolucji Październikowej, dalej operetka Abrahama „Wiktoria i jej huzar", a w połowie grudnia „Sułkowski" Żeromskiego. Tak przedstawia się plan repertuarowy na ostatni kwartał roku bieżącego.

W roku przyszłym teatr olsztyński wystawi jedną ze sztuk radzieckich, „Bajkę" Swietłowa albo „Zagadnienie rosyjskie" Simonowa. W związku z setną rocznicą zgonu Tołstoja w projekcie jest jedna ze sztuk tego wielkiego pisarza. Następnie nieśmiertelna „Adrianne Lecouvreur", „Seans" Cowarda, „Strzały na ul. Długiej" Świrszczyńskiej, epos ludowy czeski „Raudus i Mahulena" Zejera (byłaby to prapremiera w Polsce), „Miasto w dolinie" Priestleya oraz szereg pozycji rozrywkowych. Duży nacisk kładzie dyrekcja na opracowanie widowiska regionalnego w rodzaju „Wesela na Warmii", „Godów Wiosennych" itp.

Na odbytym niedawno posiedzeniu Miejskiej Komisji Teatralnej miasta Olsztyna wypłynęła w toku dyskusji sprawa wyłonienia i przedstawienia Ministerstwu kandydatury kierownika literackiego. Komisja jednogłośnie poparła zaproponowaną przez Dyrekcję Teatru kandydaturę znanej działaczki i cenionej literatki ob. Sukertowej-Biedrawiny, podkreślając bardzo żywo moment, że teatr czynny na ziemi Warmii i Mazur musi mieć stały kontakt z zagadnieniami tych regionów, których wybitną znawczynią i niestrudzoną propagatorką jest p. Sukertowa-Biedrawina.

Na zakończenie tego krótkiego artykuliku o teatrze w Olsztynie, wypada podkreślić, że teatr ten może się poszczycić doskonałym personelem technicznym, rekrutującym się głównie z personelu wileńskiej „Pohulanki". Głównym filarem teatru jest obok dyrektora Stanisław Milski, reżyser i aktor, zarazem wielki znawca teatru i jego fanatyk. (a)



„Kaśka Kariatyda" Gabrieli Zapolskiej w olsztyńskim Teatrze Miejskim . Reż. Stanisław Milski. Na zdjęciu od lewej St. Milski, Eugenia Ścieżko-Szofnaglowa, Magdalena Sadowska.

Wśród czasopism

„*Wysoki Sejm uchwalić raczy: Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w stulecie śmierci Fryderyka Chopina postanawia uczcić pamięć genialnego Polaka przez ufundowanie niniejszym na wsze czasy Światowej Nagrody Muzycznej im. Chopina, przyznawanej corocznie w Warszawie trzem przedstawicielom muzyki, a mianowicie najwybitniejszemu żyjącemu kompozytorowi, najwybitniejszemu żyjącemu wirtuozowi i najwybitniejszemu muzykologowi, bez względu na ich narodowość, rasę czy wyznanie. Wysokość nagrody będzie corocznie ustalana przez Sejm Rzeczypospolitej w ramach uchwalania budżetu państwa. Skład jury będzie powoływany corocznie przez Sejm Rzeczypospolitej. Nagroda przyznawana będzie corocznie w rocznicę śmierci Fryderyka Chopina 17 października poczynając do roku 1949*".

W tym miejscu powinny nastąpić podpisy. Trudno jednak ustalić czyje, gdyż jest to projekt petycji społeczeństwa polskiego do Sejmu. Wysunął go Edmund Osmańczyk na 184 nrze Przekroju w artykule „Nagroda Chopina". Ponieważ Przekrój bierze się u nas od szeregu miesięcy do ręki więcej z przyzwyczajenia niż z ciekawości i dla dokładnego przeczytania, a projekt godny jest uwagi, pozwoliłem sobie przytoczyć założenie artykułu Osmańczyka, by sprawa, jaką poruszył, nie przeminęła bez echa. Bo jeśli inicjatywa ma przybrać jakiś kształt realny, sam Przekrój mimo swej popularności na jej podtrzymanie nie wystarczy.

Osmańczyk do projektu tego zmierza od tego, że na równi z zagraniczną propagandą naszego wysiłku gospodarczego, wysiłku pokojowej odbudowy, musimy podjąć propagandę naszego bogatego dorobku kulturalnego. I on także dołącza się do ciągnącej się dziesiątki lat litanii postulatów, by sprowadzono wreszcie z paryskiego cmentarza prochy Chopina, tak jak sprowadzono prochy Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza. I jako drugi projekt o wielkim znaczeniu propagandowym dla kultury polskiej wysuwa właśnie owa światową nagrodę muzyczną Chopina, która mogłaby urość do znaczenia i powagi nagrody Nobla, która — jak wiadomo — twórczości muzycznej nie uwzględnia.

Gdy uświadomimy sobie, że trzy lata musieliśmy czekać na powzięcie uchwały o państwowych nagrodach artystycznych, projekt Osmańczyka sprawia wrażenie pomysłu bardzo entuzjastycznego i bardzo pożytecznego, ale bez większych widoków na jego realizację. Nie mniej inicjatywę należy podtrzymać i dobrze byłoby, gdyby została rozważona. Komitet Obchodu Roku Chopinowskiego mógłby zająć się tą sprawą i zbadać możliwości wprowadzenia projektu w życie. Jeśli w chwili obecnej sytuacja finansowa państwa na to nie pozwala, nie oznacza to, by projekt miał być całkowicie zarzucony i zapomniany. Muzyka Chopina zdobyła świat. Trzeba, byśmy utrwalili w tym świecie pamięć tego, że ten genialny kompozytor był Polakiem.

Od czasu, gdy zamarło w r. 1946 poznańskie *Życie Literackie*, Poznań w tej rubryce pojawiał się rzadko. Najwyżej jako siedziba miesięcznika Instytutu Zachodniego, *Przeglądu Zachodniego*. Z tym większą więc skwapliwością sięgamy po pierwszy numer estetycznie prezentującego się pisma pod nazwą *Echo Teatralne i Muzyczne*, na którym widnieje wskazówka: *Poznań, październik 1948*. Wydawcą tego pisma jest Towarzystwo Współpracy Kulturalnej w Poznaniu, a więc coś jakby komitet porozumiewawczy placówki i organizacji kulturalnych działających na terenie miast. Redakcję firmuje anonimowe kolegium. Pismo według zapowiedzi redakcyjnej „służyć będzie zagadnieniom nowego, postępowego teatru, nowej muzyki i świadomej, twórczej krytyki". Jest to więc pismo typu dosyć oryginalnego: skupia przede wszystkim uwagę na teatrze i muzyce, nie wysuwa na pierwszy plan literatury. To odróżnia je wyraźnie w plejadzie periodyków polskich. Miesięcznik wiązać się będzie z pracą teatrów poznańskich, poznańskiej opery i filharmonii. W omawianym numerze teatru dotyczą następujące artykuły: Wacław Kubacki „Na marginesie Świętoszka", Jan N. Miller „Humor Fredry w teatrze współczesnym", Wojciech Bąk „Poprawność czy ryzyko" (Bąk protestuje przeciw eklektyzmowi repertuarowemu teatrów polskich domagając się ryzyka w doborze sztuk nowych), Wilam Horzyca „Komedia o Królestwie Bożym" (o „Majorze Barbarze" Shawa), Krzysztof Modrzeski „Łysy Kupidyn" i „Antek Nędza" Gabrieli Zapolskiej, I. Jakubowski „Jak uratowano bibliotekę i gmach Teatru Polskiego w Poznaniu". Dział ten uzupełnia fragment z książki B. Zachawy „Wachtangow i jego Studio". Sprawy opery i muzyki omawiają następujący autorzy: Teofil Trzciński (prapremiera „Goplany" Żeleńskiego), Jerzy Korab („O muzyce radzieckiej") Tadeusz Szeligowski („Filharmonia poznańska), Jerzy Młodziejowski „Muzyka i ratusz poznański").

Rewelacją literacką jest artykuł K. Modrzeskiego, który relacjonuje o dwóch nieznanych sztukach Gabrieli Zapolskiej. Jest to farsa „Łysy kupidyn", grana w r. 1886 w teatrze poznańskim (pierwsza sztuka Zapolskiej), o której wiemy tylko tyle, ile mówi zachowany afisz i sprawozdanie recenzenta „Dziennika Poznańskiego", oraz nie grany nigdzie dramat „Antek Nędza". Sama Zapolska zapomniała o tym dramacie, choć fragment jego wydrukowała w krakowskim „Życiu". Modrzeski opisuje egzemplarz rękopiśmienny tej sztuki zachowany w bibliotece teatru w Poznaniu, niestety niekompletny, zawierający tylko pierwszą część.

Pierwszy numer *Echa Teatralnego i Muzycznego* uzupełnia kronika „Twórczość w Poznaniu", oraz przegląd sztuk granych na scenach polskich. Charakter wyłącznie reklamowy mają „głosy prasy warszawskiej o Operze Poznańskiej". W rubryce tej doczekał się niezasłużonego przedruku słynny recenzent muzyczny „Expressu Wieczornego" Szymon Waliewski, który dotychczas cytowany był z uznaniem w „Camera obscura" w *Odrodzeniu*.

Pierwszy numer nowego pisma sprawia wrażenie bardzo korzystne i przynosi interesującą lekturę, interesującą nie tylko dla Poznania. Ważne jest, że *Echo* zapowiada wydawnictwo pod nazwą „Biblioteka Echa", gdzie ukazywać się będą utwory dramatyczne autorów polskich, tłumaczenia dramatów oraz studia z zakresu teatrologii i muzyki. Ponadto zespół „Echa" podejmuje organizowanie poranków muzycznych w większych ośrodkach robotniczych.

Cóż można powiedzieć na to wszystko? Chyba tylko jedno: brawo Poznań! (ki)

Rozmowy z polskimi marynistami (VII)

Jerzy Pertek

Zanim nasza beletrystyka marynistyczna doczeka się swoich „wielkich dni" i nie będzie tylko „małą flotą", pływającą skromnie na wodach literatury, potrzeba nam dobrej, z rozmachem pisanej publicystyki oraz sugestywnej, dobrej historii wszelkich naszych poczynań morskich. Taka publicystyka wypełni lukę nie tylko w historycznym obrazie naszych niedawnych zmagań



na morzu, ale przygotuje materiały, mogące być nieocenionym źródłem dla pisarzy, interesujących się zagadnieniami morskimi. Nic dziwnego więc, że z radością witamy każdą pracę, która spełnia wymienione zadania.

Taką właśnie pracę wykonuje od dłuższego czasu młody, utalentowany autor „*Wielkich dni małej floty*", szczery entuazjasta „*Polskiej marynarki wojennej*" — Jerzy Pertek.

„*Pewnego jesiennego wieczoru, gdy zmachany wróciłem z objazdu rozlewisk dolnej Odry na tym samym „Batorym", który przerwał blokadę Helu w roku 1939 i marzyłem o marynarskim śnie „bez snów", znalazłem na biurku nadesłaną odbitkę „Wielkich dni małej floty". Zamiary wzięły w łeb. Do świtu pozostaliśmy we troje: ja, fajka i książka*". — Tak pisze o książce Pertka stary wilk morski, zarazem zaś rasowy pisarz marynistyczny, kontradmirał Steyer, występujący pod pseudonimem Brunona Dzimicza. To, co „wzięło" starego marynarza, było nie tylko przypomnieniem historii bohaterskich walk naszej floty. Kryło się w tym coś więcej dla młodego pisarza, który zaczął swoją żmudną i trudną pracę jeszcze podczas okupacji. O to właśnie pytam i ja młodego autora.

— *Jak Pan sobie dawał radę z tak trudnym zadaniem?*

— Trudność zdobycia źródeł i dokumentów, niezbędnych do napisania takiej właśnie książki, jak „Wielkie dni małej floty", była niewątpliwie w czasie okupacji nie łatwa do przezwyciężenia. Z tego też względu, a także i z uwagi, że nie sposób pisać podobnej książki — na gorąco", bez atutu perspektywy czasu, ustawiającej nie tylko objęcie całokształtu działań, ale i selekcję jego ciężaru gatunkowego, moja praca okupacyjna nad wspomnianą książką polegała raczej na zbieraniu i gromadzeniu źródeł i danych, niż na samym pisaniu książki. Jeżeli jednak koncepcja jej układu skrystalizowała się w mym umyśle dopiero pod koniec wojny, zręby rozdziału pierwszego i wstępu (kampania wrześniowa łącznie z obroną Westerplatte) opracowane zostały już w czasie okupacji w Warszawie, dzięki istnieniu licznych, zarówno polskich, jak i niemieckich, opracowań na ten temat. Informacje uzyskane już po wojnie od admirała Steyera pozwoliły mi rozdział o obronie naszego wybrzeża opracować bardziej szczegółowo od innych omawiających działanie na zachodzie.

Praca dalsza, i to praca ściśle benedyktyńska, jeśli chodzi o źródła niemieckie, polegała na systematycznym gromadzeniu materiałów. Zbierałem wszystko, co odnosiło się do działań morskich minionej wojny, [illegible] mi wiadomościami niemieckimi. Zadawalając się zazwyczaj umniejszeniem, zlekceważeniem czy wyszydzeniem działalności Marynarki Wojennej R. P. na zachodzie, w jednym, jedynym bodaj wypadku Niemcy całkowicie przemilczeli istnienie i udział polskiego okrętu w jednej z największych operacji morskich minionej wojny, w polowaniu na „Bismarcka". Zbierając materiały do walki „Pioruna" z „Bismarckiem" musiałem przeczytać parę tysięcy stron, nie natrafiając wśród przeczytanych dziesiątków artykułów i książek na żadną absolutnie wzmiankę, która by przyznawała, że w pokonaniu niemieckiego kolosa brał udział przedstawiciel „tak zwanej polskiej floty".

Archiwum moje i biblioteka rosły w tempie niepokojącym, zwłaszcza gdy się zważy, że w toku wojny mieszkałem w Poznaniu, Warszawie, Radomiu i Łowiczu i że przechowywanie czy wożenie tych zbiorów sprawiało niemałe kłopoty. Owe 3000 wycinków, kilkanaście roczników pism periodycznych (popularnych i fachowych) o tematyce wojenno-morskiej oraz około 200 książek, przedstawiały niemal wszystko, co w toku wojny Niemcy na temat działań morskich napisali. Wszystkie te materiały szczęśliwie ocalały, podczas gdy zbiór wydawnictw podziemnych, traktujący o działalności Marynarki Wojennej R. P., uległ zniszczeniu na skutek złego opakowania przed zakopaniem. Strata była mniej dotkliwa, gdyż po wojnie miałem możność uzupełnienia owych notatek.

— *Czy „Wielkie dni małej floty" to pierwsza pańska książka?*

— Aczkolwiek „Wielkie dni małej floty" są pierwszą moją wydaną książką, to w kolejności powstania zajmują dopiero czwartą pozycję. Pierwszą książkę — powieść morską, czy może raczej „nadmorską" — napisałem przed samą wojną, rękopis jednak przepadł mi wraz z kilkunastoma drobniejszymi utworami (nowele i wiersze). Po wojnie — latem 1946 roku — naisałem dwie książeczki dla młodzieży, korzystając z przygotowanych materiałów do „Wielkich dni małej floty". Obie te książeczki: „*Pod polską banderą wojenną*" i „*Polska Marynarka Wojenna*" — wyszły jednak z druku już po „Wielkich dniach małej floty".

— *Czy książki te powstały na skutek Pańskich zamiłowań zawodowych czy amatorskich?*

— Zamiłowania moje, które przyczyniły się do powstania powyższych książek, są amatorskie, bo zawodowe skończyły się już przed wojną, gdy względy zdrowotne uniemożliwiły mi zrealizowanie pragnienia służby w marynarce wojennej. [illegible] odzwierciedlenie w mej twórczości, spotykam bowiem wielu wytrawnych marynarzy, władających nie gorzej piórem, a nie zdradzających chęci pisania o tym, co stało się treścią ich życia. Dlatego też często, na stawiane mi pytania, jak to się dzieje, że obrałem problematykę morską, a nie jestem marynarzem, odpowiadam, że nie sztuką być marynarzem i pisać o morzu, ale przeciwnie — nie być nim i pisać. Może zachęci to tych, którzy mogliby pisać więcej i lepiej ode mnie, a tego nie czynią.

Zresztą, studiuję zagadnienia morskie, ściślej mówiąc wojenno-morskie, od lat piętnastu. Jest to pasja, która zrodziła się we mnie w latach chłopięcych, gdy — spędzając doroczne wakacje nad morzem — oczarowany zostałem urokiem stalowych kadłubów naszych smukłych torpedowców, [illegible] kanonierek, groźnych i śmiercionośnych okrętów podwodnych [illegible] wanie ich jakimś siłom nadludzkim".

Jakikolwiek urok rzuciły na mnie „stalowe rekiny", jak częstokroć nazywa się okręty wojenne, to jednak myślą przewodnią „Wielkich dni małej floty" było złożenie hołdu nie okrętom, lecz ludziom, tym, którym książka ta została zadedykowana.

— *Do rzędu książek obrazujących bohaterską walkę naszej floty przybyło od czasu Pańskich kilka nowych, m. in. Bartosika „Wierny okręt". O ile uzupełniają one Pańskie prace?*

— „Wierny okręt" Józefa Bartosika jest książką, jakich dotkliwy brak daje się odczuwać w naszej powojennej marynistyce, bowiem Bartosik jest jednym z bardzo nielicznych ludzi morza, którzy podzielili się z czytelnikami bogatymi przeżyciami wojennymi. Książki tego rodzaju są nader cennym uzupełnieniem, a raczej rozszerzeniem „Wielkich dni małej floty", które w miarę kolejnych, powiększonych wydań (obecnie przygotowuję powoli trzecie wydanie) zdążają do objęcia całokształtu działań naszej floty wojennej w latach 1939—1945. Oczywiście trudno nawet w ramach 300, czy 400-stronicowej książki omówić wyczerpująco historię działań wszystkich jednostek, jakie w toku wojny pływały pod polską banderą wojenną, choćby dltego, że było ich nie mniej, jak 66, a może nawet więcej! Dlatego bardzo potrzebne wydają się być książki, osnute na tle przeżyć na okrętach Rzeczypospolitej w latach wojny.

— *Jakie instytucje i jacy wybitniejsi naukowcy opracowują materiały dotyczące polskiej marynarki?*

— O ile mi wiadomo, najpoważniejszym — i chyba jedynym — przedsięwzięciem tego rodzaju są „Monumenta Poloniae Maritima", zapoczątkowane już przed wojną. 10 projektowanych tomów ma objąć całokształt naszych spraw morskich (gospodarczych, wojennych, kulturalnych) od czasów Zygmuntowskich do chwili obecnej. Słyczałem ponadto o pracach poszczególnych naukowców, jednakże nie uważam się za upoważnionego do ogłoszenia zapowiedzi powstających książek.

— *Czy nie należałoby zachęcić naocznych świadków i współuczestników walk naszej floty do zebrania materiałów i dokumentów dotyczących walk na morzu? Np. ogłosić konkurs na „pamiętniki marynarza"?*

— Niewątpliwie tak. Zachęta taka wyszła już swego czasu spod pióra Janusza Stępowskiego na łamach przekształconego niedawno na „Tygodnik Wybrzeża", „Szczecina". Była ona skierowana do marynarzy naszej floty handlowej, gdyż szczególna „posucha" panuje właśnie, jeśli chodzi o historię jej działalności w latach wojny. Niestety, sądząc z braku wypowiedzi marynarskich w „Tygodniku Wybrzeża", który gościnnie zaofiarował swe łamy na ich opublikowanie, apel Stępowskiego nie został podjęty. Może więc konkurs na pamiętniki marynarskie, i to zarówno marynarzy z floty handlowej jak wojenej, przyniósłby pomyślne rezultaty. Wysunięta przez Pana myśl jest bardzo szczęśliwa. Może podjęłyby ją wspólnie pisma takie jak „Odra", Tygodnik Wybrzeża", „Morze i Marynarz Polski", „Młodzież Morska" i „Żeglarz"? Może przyłączyłyby się pisma codzienne Wybrzeża?

— *Jakie zagadnienia z dziejów naszej marynarki — dawnej i obecnej — należałoby opracować?*

Na pytanie to odpowiedziałem już częściowo w odpowiedziach poprzednich. Oczywiście, jeśli chodzi o źródłową historię udziału naszej floty wojennej i handlowej w minionej wojnie — dzieła takie muszą dopiero powstać i luki tej nie załatają ani pamiętniki marynarzy, ani książki w rodzaju „Wielkich dni małej floty", które noszą charakter publicystyczny.

Z dziejów dawnych czekają na dokładne opracowanie próby tworzenia floty wojennej w okresie niewoli (Powstanie Listopadowe i Styczniowe), które Kazimierz Lepszy potraktował w swych „Dziejach Polskiej Floty" dość ogólnikowo. Bardzo wdzięcznym tematem są sylwetki naszych zagończyków morskich, żeglarzy i podróżników, których mieliśmy — wbrew pozorom i przypuszczeniom — bardzo wielu. Tom takich sylwetek opracowuje jeden z bardziej znanych publicystów morskich młodego pokolenia.

— *Nad czym Pan obecnie pracuje?*

— W chwili obecnej w druku znajduje się napisana przeze mnie wspólnie z autorem wspomnianego wyżej tomu, Józefem Modrzejewskim, książka zatytułowana „*Okręty na Odrze*", podtytuł „*Dziesięć wieków zmagań w ujściu Odry*", traktująca — jak to wskazują tytuły — o politycznych i militarnych wydarzeniach, jakie się na przestrzeni 10 wieków w ujściu Odry rozgrywały. Zgodnie z przebiegiem wydarzeń wojennych i doceniając znaczenie ujścia Odry jako najważniejszego punktu strategicznego na południowym wybrzeżu Bałtyku, przedstawiliśmy obszernie wydarzenia wojenno-morskie, które odgrywały dominującą rolę w zmaganiach w ujściu i o ujście Odry, pozostawiając czytelnikowi wysnucie jasno nasuwającego się wniosku, że państwo panujące w ujściu Odry musi być państwem morskim.

W przygotowaniu do druku znajduje się druga moja książka napisana na spółkę, tym razem z autorem „Od Westerplatte do Hiroszimy", Witoldem Supińskim. Jest to historia działań morskich minionej wojny światowej i nosić będzie tytuł „*Wojna morska 1939—1945*".

Obecnie opracowuję książkę o działalności naszej floty handlowej w latach 1939—45. Zbliżona będzie układem i formą do „Wielkich dni małej floty"; obie te książki stanowić będą niejako całość naszego wkładu w minioną wojnę morską. Równocześnie — jak już wspomniałem — powoli przygotowuję trzecie wydanie „Wielkich dni małej floty", w zwiększonej objętości. Wynika z tego, że piszę dużo, zwłaszcza jeśli się zważy, że w niespełna trzech ostatnich latach opublikowałem również ponad 250 artykułów o problematyce morskiej.

Dalsze moje plany obejmują dwa tomy opowiadań morskich i powieść, wszystkie osnute na tle autentycznych wydarzeń minionej wojny. Ale o tym — kiedy indziej. Już i tak obawiam się, że Pańska prośba o obszerne wypowiedzi została co najmniej maksymalnie spełniona.

Rozmowę przeprowadził *Stanisław Telega*.

Krótkie spięcia

Niejaki X — jako taki

W jednym z ostatnich numerów „Rzeczpospolitej i Dziennika Gospodarczego" zostałem zaatakowany w dłuższym pamflecie p. t. „Czy p. X jest nijaki, a jeśli nie — to jaki?" przez osobę, podpisującą się pseudonimem „Wilczek".

O cóż „Wilczkowi" chodzi?

Oddajmy więc naprzód tej Osobie głos i posłuchajmy. Otóż Osoba twierdzi, że w felietonach w „Odrze":

„...p. Niejaki X zajmuje się głównie walką z zanieczyszczaniem języka polskiego."

I że:

„...z niechlujstwem językowym należy walczyć. Walczyć — ale jak? ... Śmiemy twierdzić, że w felietonach Niejakiego X-a jest pewna linia. Kilka przykładów dowiedzie, na czym ona polega."

I tu następują takie przykłady:

„Oto Straż Pożarna gdzieś na prowincji urządza zabawę. Plakat zawiera błędy językowe...

...Oto jakieś zawiadomienie referatu kulturalno-oświatowego jakiegoś związku zawodowego w Bielsku...

...Oto gdzieś górnicy chcąc przestrzec swoich kolegów przed wypadkami, wywiesili plakat z napisem:

Taśmy, rury gdy są w ruchu
Przechodź przez pomostek
druchu

Wymyślił ktoś ten naiwniutki rymek, prawdopodobnie wychodząc zresztą ze słusznego założenia, że rymowany slogan bardziej rzuca się w oczy i łatwiejszy jest do zapamiętania. Poezja to nie jest — i górnikom nie o to chodziło, by konkurować z Tuwimem i Przybosiem, lecz o to, by mniej było nieszczęśliwych wypadków przy pracy. Ale Niejaki X złapał za pióro i hejże na zuchwałych górników! Że w ogóle Druchu przez cha. Na temat tego biednego „ch" cały traktat.

Oto w jakiejś gazetce robotników cukrowniczych pisze ktoś: „Cukrownictwo, tak jak górnictwo, ma swoje tradycje, ma swoje obyczaje..." Gdzie tu błąd? Tym razem sama treść wywołuje oburzenie Niejakiego X-a. Dodaje on ironiczny komentarz; — A szewstwo, a piwowarstwo? — I to ma być dowcip. Na czym on właściwie polega?

Oczywiście, że cukrownictwo ma swoje tradycje, i szewstwo, i piwowarstwo, i każda ciężka praca robotnika, i robotnicy mają prawo być dumni ze swej pracy, z jej tradycji, i mają prawo w Polsce Ludowej o tym pisać, Niejaki Panie X-ie.

Jeszcze jeden przykład. Kiedyś jakiś dureń w Szczecinie wystąpił z atakiem na Moliera i Zapolską. Dureń dostał po nosie m. in. od „Głosu Ludu" i od innych pism, i sprawa byłaby skończona. Ale Niejaki X napisał na temat nie jeden, lecz kilka felietonów, robił do tej bzdury aluzje gdzie i kiedy się dało. Po co — by ośmieszyć durnia, czy by ośmieszyć coś innego?"

I tu następuje ze strony osoby, podpisującej się pseudonimem „Wilczek", zasadniczy atak tego rodzaju:

„Twierdzimy, że to „coś innego", co my nazywamy: dążeniem do upowszechnienia kultury, pęd mas do oświaty, awans społeczny mas, a co Niejaki X, gdyby mógł być szczery, nazwałby mniej więcej tak „chamy pchają się do kultury" — że to wielkie i piękne zjawisko społeczne chce ośmieszyć felietonista „Odry".

Twierdzimy — to znaczy, my, Osoba Wilczek.

Cóż dalej jeszcze twierdzimy? Twierdzimy dalej, wpadając w patos i grandilokwencję, że w tym wszystkim, co tak bawi Niejakiego X-a:

„jest przecież coś bardzo — powiedzielibyśmy nawet — wzruszającego. Spracowane ręce robotników i chłopów, czy działacza związkowego, który się z nich wywodzi, chwytają za pióro, do którego nie są przyzwyczajone."

I niech przypadkiem Niejaki X — twierdzimy jeszcze potem, to znaczy my, Osoba Wilczek — nie powołuje się na to, że:

„on właśnie służy tej samej sprawie i dba o podniesienie poziomu, przez to, że wytyka błędy. Jest różnica między życzliwą krytyką, a złośliwym grymasem „schadenfreude" z tego, co te chamy z tą kulturą wyrabiają."

Na zakończenie zaś takie epitaphium:

„Odpowiedzieliśmy, zdaje się, dość wyraźnie na pytanie, czy Niejaki X jest nijaki, a jeśli nie — to jaki."

A teraz odpowiem ja.

Osoba Wilczek używa (zastrzegam się, że mówię specjalnie delikatnie) bardzo brzydkich chwytów. Brzydkich już choćby z uwagi na swą taniość i łatwość. W nieistniejącym bowiem „Podręczniku dla prymitywnych demagogów" istnieje taki niepisany paragraf nr 1: „Jeżeli wszyscy na przykład potępiają kolor zielony, to zarzuć przeciwnikowi, że jest on zielony. I odwrotnie."

Nic więc w tym wypadku nie jest prostszego, jak zaatakować felietonistę, ośmieszającego straszliwe afisze zabawowe, pisane przez ćwierćanalfabetów, którzy mogą i powinni poradzić się na miejscu u nauczyciela, księdza, komendanta milicji czy u innych osób, umiejących czytać i pisać, jak można poprawnie zawiadomić bliźnich, że dnia tego a tego będzie się tam a tam tańczyło i piło wódkę, — iż tenże felietonista „wykpiwa spracowane ręce robotników i chłopów, chwytające za pióro". Jest to demagogia najgorszego gatunku, przed którą każdy uczciwy człowiek powinien się wzdrygnąć. Ale chwyt jest łatwy i tani.

Dalej zawiadomienia związkowe itp. Żadni robotnicy i chłopi tego nie piszą, lecz wykształceni referenci, a to co napiszą referenci, przepisują maszynistki ze świadectwami maturalnymi w kieszeni. Jeżeli robią tam byki, to wykpiwanie, rzecz prosta, tylko ich dotyczy, oraz tych, którzy tych byków przed wysłaniem w świat nie poprawili. Trzeba to, Osobo Wilczek, rozróżnić.

Ale Osoba Wilczek tego umyślnie nie rozróżnia. Co jej tam!

W porządku. Jedźmy więc dalej — i przesuwając naprawdę kapitalną sprawę „drucha" na koniec — zajmijmy się teraz „gazetką robotników cukrowniczych".

Otóż po pierwsze nie była to żadna „gazetka robotników cukrowniczych", lecz organ dyrekcji cukrowni, w którym miejscowi grafomani wysilali się na wyścigi, jakby to najlepiej pochwalić takiego pana dyrektora a takiego pana referenta, zaś najgorliwiej to czynił redaktor gazetki, chwaląc zresztą najbardziej sam siebie. Było tam wbród wszelakiego wodolejstwa i marnowania papieru potwornościami grafomańskimi, i słusznie też za to gazetka została objechana. Miało to ten skutek, że objechanie zostało przedrukowane przez szereg pism, a sama gazetka, wydawana zresztą na luksusowym papierze, przestała, chwalić Boga, wychodzić.

Więc jak to jest z tym „robotniczo-chłopskim prawem do pisania w Polsce Ludowej" Osobo Wilczek? Czy użycie tego passusu nie jest przypadkiem bardzo brzydką woltą spod ciemnej gwiazdy?

Jedźmy dalej. Sprawa „durnia w Szczecinie". Osobiście nigdy bym się tak nie ośmielił nazwać swego ówczesnego antagonisty, który zaatakował Zapolską i Moliera, ale mniejsza o to. Osoba Wilczek powinna wiedzieć, o kim mówi. Sprawa zajęła rzeczywiście kilka felietonów, ale dlatego, że ów pan ze mną polemizował w swoim organie, oraz w kilku innych pismach, przypisując mi zresztą już wtedy (ha!) wszelaką możliwą „reakcyjność".

Bóg z nim!

Ale co to ma wspólnego Osobo Wilczek z kwestią p. t. „chamy pchają się do kultury"? Czy to nie jest — chamski zarzut?

Przejdźmy jednak nareszcie do sprawy „drucha". Tak się złożyło, że na ten temat Redakcja „Odry" otrzymała ostatnio list od autora owego słynnego plakatu. Pozwolę więc sobie ten list tutaj ku pamięci Osoby Wilczek zacytować in extenso:

„Wisła, dnia 17 października 1948.

Do Redakcji „Odry".

Tak się złożyło, że dopiero teraz przeczytałem felieton w numerze 28 (137) „Odry", p. t. „Coś dla plastyków" Niejakiego X-a.

Ponieważ treść felietonu przedstawia moją osobę w bardzo niekorzystnym świetle, uprzejmie proszę o umieszczenie niniejszej odpowiedzi na stawiane mi zarzuty i pytania Pana Niejakiego X-a.

Autorem umieszczonego na plakacie wiersza nie jestem ja. Przez kogo był pisany, nie wiem. Dostałem go z Wydziału Ratownictwa i Bezpieczeństwa Pracy C. Z. Z. G. i wyglądał on początkowo w ten sposób:

Taśmy, rynny gdy są w ruchu
Przechodz przez pomostek ty
mądruchu.

Wiersz ten, oraz szkic do plakatu, o którym mowa niżej, był czytany i zaakceptowany przez komisję inżynierów i referentów C. Z. Z. G., C. Z. P. W. i W. U. G. w mojej obecności. Na moją skromną uwagę, że wierszyk jest dość naiwny i grzeszy wątpliwą polszczyzną, odpowiedziano mi, że taka jest gwara górników. Potem jeden z referentów skreślając „mą" przerobił mądrucha na „drucha" ,orzekłszy, że tak będzie lepiej. Pomyślałem sobie, widząc wynikły stąd błąd, że pan referent nie skreślił „c" dlatego, aby zachować rym, bo „druhu" byłoby za twardo do „ruchu", no i może dla zachowania tej gwary. Gdyby to błąd był innego rodzaju, nie związany z brzmieniem samego słowa n. p. zamiast rz było ż, lub zamiast ó — u, to oczywiście takiego błędu bym nie umieścił.

Tyle co do wierszyka i byka.

Co się tyczy samego plakatu, to sprawa wyglądała w ten sposób: Jednocześnie z wierszem dostałem szkic ołówkowy, rysowany przez jakiegoś górnika, „który jak sobie podpije, to bardzo dobrze maluje", jak mię poinformowano, — i polecono przy wykonywaniu plakatu na nim się wzorować, gdyż oddaje prawdziwe wnętrze chodnika kopalnianego i dobrze obrazuje ruchy górników, bo ja jako nie górnik, nie mogę tego wiedzieć. Szkic był naiwny i pozbawiony wszelkich zasad kompozycji, perspektywy, proporcji itp.

Mając taki materiał do opracowania, nic dobrego stworzyć nie mogłem. Poprawiłem coś nie coś, powiększyłem, podkolorowałem i niepotrzebnie pod tym wszystkim się podpisałem.

Pomimo wszystko, ktoś powie, mógłbym niektóre partie plakatu wykonać lepiej. Zgadzam się z tym i wiem o tym. I to wszystko, co wyżej powiedziałem, nie może mnie zrehabilitować w oczach P. Niejakiego X-a i artystów ze Związku Plastyków. Chyba może to, że: jestem samoukiem i uzdolnienia moje idą w kierunku dekoracji wnętrz, wystaw sklepowych, stoisk itp. Projektowałem i budowałem stoiska na wystawie przemysłowej w Gliwicach, a na Targach Poznańskich w rb. zostałem odznaczony pierwszą nagrodą przez Komisję Architektów i Dekoratorów za stoisko przemysłu wełnianego „Bielsko", fotografia którego była umieszczona w prasie (Żołnierz Polski nr 18) jako efektowne stoisko pawilonu włókienniczego.

Z poważaniem
J. C. Dogiel."

Wystarczy? Wystarczy. A więc nie „zuchwali górnicy" to wszystko wymyślili, lecz komisja złożona z inżynierów i referentów. I nie ci „zuchwali górnicy" chcieli konkurować z Tuwimem czy Przybosiem, lecz panowie inżynierowie i referenci. A plakat robił fachowiec.

I dlatego właśnie cała ta historia została objechana.

Na tym właściwie należałoby polemikę z Osobą Wilczek zakończyć. Tylko jeszcze jedna sprawa:

Jak jest z tą „Schadenfreude"? Jak jest z tą różnicą między życzliwą krytyką, a złośliwym grymasem „Schadenfreude"? Czy przypadkiem Osoba Wilczek nie miała przy pisaniu swego pamfletu bardzo dużej porcji owej „Schadenfreude", grymasząc się przy tym niesłychanie złośliwie? Nie ulega wątpliwości, że miała. Prawda — wykończyć gościa takim argumentem, że kręci nosem na „chamów, którzy pchają się do kultury", co za frajda!

Więc niech Osoba Wilczek na przyszłość pamięta: Po pierwsze, że takich bardzo brzydkich chwytów pachnących denuncjacją w polemice nie należy stosować, a po drugie, że jeżeli Niejaki X ma w swych felietonach pewną linię, to tą linią jest tylko — walka z bzdurstwem.

W związku z powyższym (t. zn. walką z bzdurstwem) mógłbym się jeszcze zająć szczegółową analizą stylistyczną pamfletu Osoby Wilczek.

Mógłbym — ale mi się nie chce.

NIEJAKI X.

Odprawa posłów

(Dokończenie ze str. 3)

były atmosferą należytą, aurą dla twórczości. Żyliśmy nerwami jak nikt inny, bośmy bardziej wrażliwi, skłonniejsi do urazów psychicznych, irritabile genus horacowe; sztukowaliśmy opór wykrwawianiem się. Podtrzymywała nas wiara, że faszyzm starty zostanie na proch. Ta wiara nas konserwowała. Prawdziwe klerki nie zdradziły swojej wiary w zwycięstwo dobrego nad złym. To, cośmy w tych czasach napisali, było „okokonowaniem" się przeciw hańbiącej nas rzeczywistości narzuconej przez wroga. Gdy inni z nim układali sobie stosunki, myśmy z wyostrzonym słuchem i wzrokiem obserwowali bieg rzeczy i w jego szprychy, aby go zatrzymać i zmienić, wplątywali opadające nam z przerażenia ręce. Poznać to po produkcji z tamtych lat. Ich dokumentarność nie wykracza poza nakreślone dla niej granice. Aby budować nową Polskę potrzeba innego materiału i innego powietrza.

W powojennej Polsce stanęliśmy do apelu gotowi do pracy. Wielu z nas dotarło z odczytami do najbardziej zapadłych wsi, do jakich politycy nie dotarli, na każde wezwanie jeździliśmy gdzieby nie było i wołaliśmy żywych. Dalibyśmy więcej jeszcze ze siebie, ale brak wydawnictw; rękopisy i maszynopisy leżą u nas niewydane. Niejeden z was, posłowie, nie wie, ilu twórców ociera się o was i jak wam ich los jest obojętny. Dać im należy nie dorywcze zapomogi, nie jałmużnę, należy im się stworzenie warsztatów pracy, zamiast nieskoordynowanych, partykularnych nagród literackich, umożliwić trzeba pisarzom oddziaływanie na czytelników, nie nagradzać paru a całą resztę uczynić niemymi, bo w końcu rozszczepieni będziemy na dwie grupy: na pisarzy de facto i na pisarzy „de jury". Każdy pisarz jak każdy pracownik ma w państwie socjalistycznym prawo do pracy. Przy równym starcie jedni zabłysną większym światłem a drudzy mniejszym. Każdy według swoich zdolności przyczyni się do rozjaśnienia ciemności. A nam w Polsce każde światło jest potrzebne, od kaganka do reflektora. Nie uprawiajmy kultu gwiazdorów. Wyławiajmy najmniejsze światełka i rozdmuchujmy je. Gaszenie ich bynajmniej nie dodaje blasku gwiazdom pierwszej wielkości. Zbyt blisko siedzimy przy tych źródłach światła i nie wiemy, jaki będzie stopień ich promieniowania za lat pięćdziesiąt czy sto i czy jakieś małe w waszych oczach dzisiejsze światełko nie przyćmi tych reflektorów.

Należałoby władzom i urzędom wydać polecenie, aby inaczej traktowali pisarzy jak to dotąd czynią. Nasi urzędnicy wyżej cenią petenta dyrektora spółdzielni jak zgłaszającego się do nich pisarza czy artystę, bo tym nasiąkli za młodu. Ta skorupka urzędnicza musi zmienić swe nastawienie do ludzi twórczych i nauczyć się myśleć innymi kategoriami jak za czasów przedwojennych. Poniżanie pisarzy jest anachronizmem a jego postulatom należy więcej poświęcić uwagi niż pretensjom rozstroicieli a nie budowniczych.

Mieczysław R. Frenkel.

W NASTĘPNYM NR

EDMUND OSMAŃCZYK,
JAROSŁAW ROGALA,
STANISŁAW TELEGA
i inni

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08

R 16715